ŚWIAT

1 ZŁ

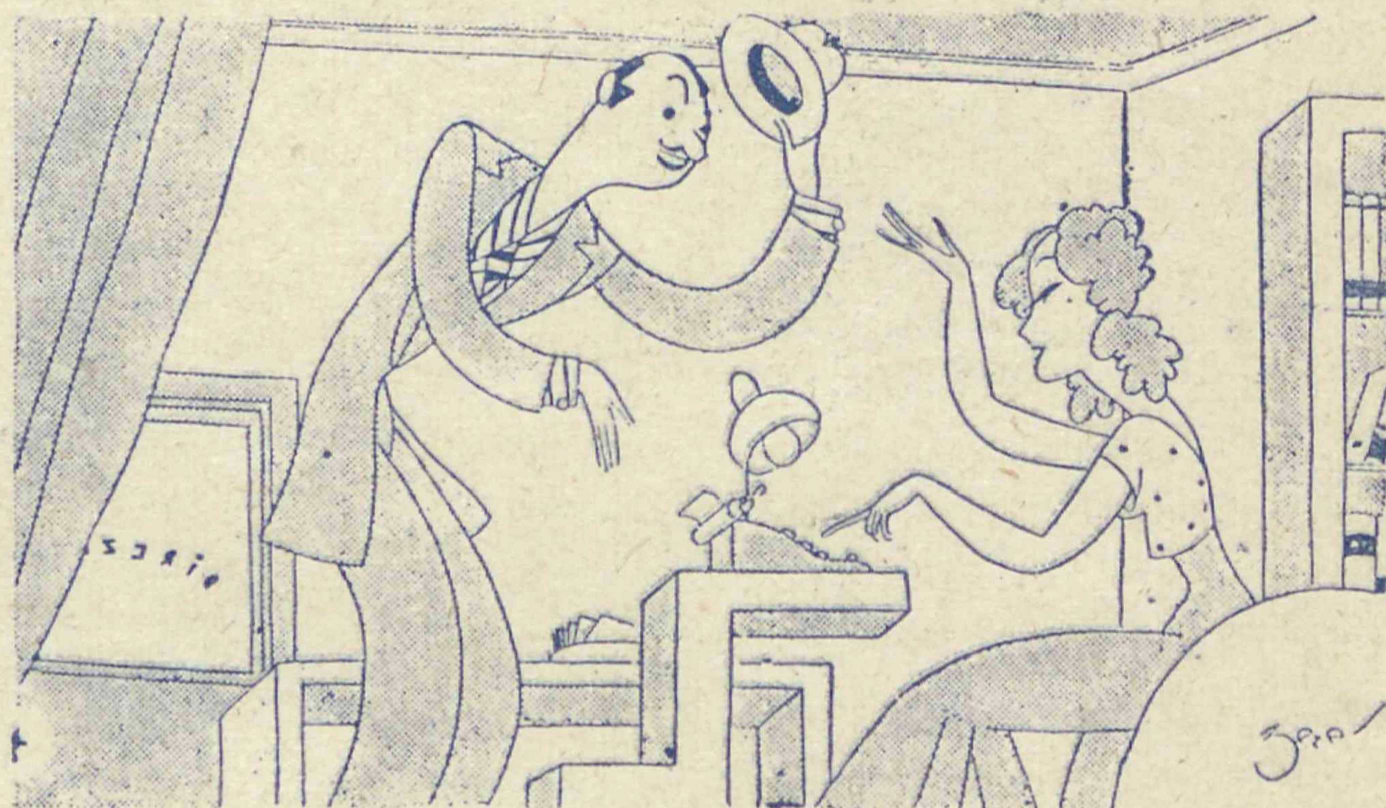
Nr. 9. DNIA 4 MARCA 1933 ROKU



Zakopane pod śniegiem. Widok na dolinę Strążyską i Giewont

Fot. Photo-Plat

TREŚĆ:



— Czy jest pan dyrektor?
— Nie, ja go zastępuję
— Chciałem go zabrać na śniadanie — więc niech pani go zastąpi.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 4-go MARCA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 9 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

KRYZYS KULTURALNY

Otrzymujemy od b. dyrektora departamentu Sztuki i Kultury Min. W. R. i O. P., znanego malarza, p. Jana Skotnickiego, ciekawe rozważania na temat stosunku współczesnej publiczności do sztuki i przyczyn t. zw. „kryzysu kulturalnego". Zagadnienia te z pewnością zainteresują naszych czytelników i wywołają niejedną refleksję.

Kryzys książki, kryzys na rynku dzieł sztuki, kryzys teatralny w dobie obecnej panuje nietylko u nas, ale jest kryzysem ogólno-europejskim i nie polega on na takim czy innym stosunku rządów lub samorządów do sztuki, lecz — zdaniem naszem — na stosunku publiczności do sztuki. Tego stosunku żadne subwencje, żadne mecenasostwo państwowe nie zmieni.

Trzeba sobie jasno i odważnie powiedzieć, że publiczność zobojętniała do obrazów, do książek i teatru, publiczność przestała żyć literaturą, sceną i wystawami.

Dwadzieścia blisko lat wstrząsów wojennych i powojennych dokonało kolosalnego przewrotu w upodobaniach, w umysłowości społeczeństw, a sztuka, naogół, w istocie swej pozostała taką, jaką była przed wojną.

Wprawdzie wprowadzono większy luksus w wystawach teatralnych, pomalowano dekoracje bardziej jaskrawo, kontury ich zaczęto robić bardziej kanciasto, lub okrągło, wprowadzono schodki tu, schodki tam, próbowano zmienić stylizację ruchów aktorskich, ale zmiany te nie odmieniły istoty teatru; są one zbyt powierzchowne.

To samo można powiedzieć o utworach literackich. Przybyło wprawdzie w nich parę wyrazów, których się nie używało dawniej w literaturze, przybyło paru autorów, sztucznie zaciemniających swe utwory, by wydawały się głębszemi, ale tematy, ujęcie ich pozostały te same.

A malarstwo, jak było w epoce przedwojennego impresjonizmu beztreściwem, tak i teraz pozostało, zmieniając tylko sos niebieski na zielony, czy czarny. Jeśli dawniej malowano szkicowo, to dzisiaj czynią to z jeszcze większą nonszalancją i ta tylko zapanowała różnica, że ubogie fragmenciki maluje się tak czy inaczej, nie stylizując, a deformując je dlatego, by w ten nieco tani sposób zwrócić uwagę na inne walory, jakim jest np. kolor. Pozatem dopuszczone zostało nagminne niewolnicze naśladownictwo motywów i ich ujęć, tak że nigdy dzisiaj nie wiadomo, czy ten temat już gdzieś był widziany, czy też poraz pierwszy ogląda się go, czy on jest tego czy innego autora.

Tak się dzieje w sztuce.

A co się dzieje między publicznością?

Jakże inaczej dziś wygląda ona, niż przed wojną, jakże inne ma potrzeby, jak co innego ją interesuje, upaja lub bawi.

Przeciętny autor, aktor, reżyser, dyrektor teatru, malarz czy muzyk bardzo prosto rozwiązuje problem powojennej publiczności, wydając o niej sąd, że jest to hołota bez kultury i smaku, skoro nie zadawalnia się tem, co on stworzył.

Tak oceniwszy sytuację, z całem przeświadczeniem swej wyższości i racji, uważa się za ofiarę barbarzyństwa. I, o ile jest dyrektorem teatru, to dla ratowania „kasy"

świadomie obniża repertuar do poziomu rewjowego.

Ale i tu następuje rozczarowanie. Marne sztuczydło też nie daje kompletów, a nawet przynosi deficyty, bo publiczność dzisiaj nie jest płytszą i głupszą od przedwojennej.

Przeciwnie. Przeżyła ona zbyt wiele, zbyt głębokie przeszła wstrząsy, widziała zbyt rozległe w świecie dramaty.

Jest ona tylko inną, tak inną, że rutyniarze przedwojenni i ich powojenni uczniowie nie są w stanie jej zrozumieć.

Legendzie o obniżonej kulturze społecznej przeczy każdy dorożkarz, wczytujący się w gazetę, każdy szofer, chłonący godzinami beletrystykę, stróż domu, roztrząsający zagadnienia kryzysu, albo panienka z magazynu, egzaltująca się sztuką kinematograficzną. Takie obrazy przed wojną mogliśmy oglądać jedynie w Paryżu; dzisiaj widzimy je w Warszawie. Przeczą dalej temu tysiące publiczności, wsłuchane w symfoniczne koncerty Filharmonji przez radjo. Przeczą temu tysiączne tłumy na kresach, wsłuchane w muzykę słowa „Dziadów" czy „Księcia Niezłomnego". Przeczą temu również tysiące młodzieży pracującej na humanistyce, czystej filozofji, historji i t. d. w niebywale przepełnionych uniwersytetach, akademjach sztuki, konserwatorjach, przeczy temu światopogląd przeciętnego obywatela Polski. O ileż on jest szerszy, o ile dojrzalszy, o ile głębszy od przedwojennego.

Nie upadek kultury obniżył frekwencję teatrów, czy wystaw i poczytność książki, lecz tylko nieprzystosowanie się twórczości naszej do problemów interesujących obecną publiczność. — Oto sedno sprawy. Przypomnijmy sobie tylko, jak teatr wyglądał w Warszawie, kiedy przed 25 laty dawano „Wesele", a jak dzisiaj. Ile dała przedstawień po wojnie „Przepióreczka", „Dzieje Grzechu", bo sztuki te wniosły do teatru nowe problemy zagadnień społecznych.

Przypomnijmy sobie, że szeregi widowisk o cechach misterjów, jak Parsival, Król Roger w operze ściągały tłumy, co byłoby niemożliwe przed wojną.

Jakie powodzenie w ostatnich dniach pomimo coraz silniejszego kryzysu ma „Most" Szaniawskiego, a nawet niezupełnie dociągnięta „Sprawa Moniki".

Nie zastrzyki kamfory, w postaci subwencji rządowych i mecenasostwa państwa, mogą uratować naszą sztukę, ale nowa twórczość, nowe problemy, poruszane przez sztukę, nowe cele sztuki, któreby zelektryzowały publiczność, zainteresowały ją i pociągnęły.

Jeden z teatrologów niemieckich mówił:

„Zegar świata scenicznego idzie szybciej, niż zegar sceny światowej". — Tak było kiedyś. U nas po wojnie stało się wprost przeciwnie.

Sztuka nie zbliżyła się do nowej rzeczywistości, więc pada, choć woła na wszystkie strony, że jest rewolucjonistką i modernistką. Niestety, wielu artystów kabotyńsko udaje reformatorów, a w gruncie rzeczy ci reformatorzy tkwią w starem, przestarzałem haśle „sztuka dla sztuki", w haśle z przed czterdziestu lat, haśle wysoce wygodnem dla tych, którzy nic nie mają głębszego do powiedzenia, prócz pokazywania technicznych sztuczek i sposobików.

Oczywiście, objawy braku zainteresowania społeczeństwa sztuką w obecnej epoce kryzysu ekonomicznego zostały jeszcze pogłębione. Ale sięgnijmy pamięcią parę lat wstecz, czyż było w tej dziedzinie lepiej?

Nie stajemy na stanowisku, by „anegdota", „treść" miała stanowić jedynie o wartości dzieła sztuki. Byłoby to oczywiście nonsensem i w pewnych wypadkach wstecznictwem, ale nie widzimy jakiegokolwiek logicznego powodu, dlaczegoby zupełna płytkość fabuły były zaletami i cechami wielkiego dzieła sztuki. Nie widzimy powodu, dlaczego w malarstwie, w okresie np. impresjonizmu, grusza, stojąca pośrodku pola raz z prawej, drugi raz z lewej strony obrazu, albo dwie rybki, oraz trzy czy cztery pomarańcze i przewracająca się filiżanka były czemś wyższem, głębszem od namalowanego „Sądu Ostatecznego", i dlaczego ten temat rybno-filiżankowy był jedynym i koniecznym wyrazem modernisty, szukającego rozwiązań zagadnień kolorystycznych.

Oczywiście, nie chodzi nam o temat „Sądu Ostatecznego" Michała Anioła, możemy wziąć setki tysięcy innych tematów współczesnych, byleby one były choć trochę przemyślane, byleby była ta kanwa, na której artysta snuje swe rozwiązania malarskie, choćby trochę inteligentniejsze, niż pomarańcze pomieszane z rybkami, lub modelki ze zdeformowanemi nogami i piersiami, powtarzane bezmyślnie, tysiące razy przez kilkanaście lat z rzędu na rozmaite sposoby. Ostatnio miesięczniki sztuki stały się wydawnictwami sezonowych mód, donoszącemi, jaki sposobik jest dzisiaj modny na rynku.

Wobec takiego stanu, o poważnym ruchu w sztuce nie może być mowy; jest to zabawa interesująca jedynie ludzi, których zajmuje ten ruch kalejdoskopowy sztuki, tak jak interesuje ich zmiana kapelusików damskich, uczesań i t. d.

Sztuka dzisiejsza przestała być wyrazem ducha narodowego, wyrazem wstrząsów, jakie przechodzi cała ludzkość; jest sobie tylko sztuką dla sztuki, tak samo płytką, a nawet płytszą, niż przed laty czterdziestu, kiedy to hasło zostało rzucone, w początkach wyklinanego dzisiaj impresjonizmu.

Bo w okresie końcowym tego impresjonizmu, po pogłębianiu go przez kilkanaście lat, poczęły jednak zjawiać się tak głębokie dzieła, pełne treści, jak Wyspiańskiego.

Uprzytomnijmy tylko sobie walki i zmagania dzisiejsze ludzkości i zestawmy je z treścią sztuki teatralnej, lub książki przeciętnej, z tem, że autor każe nam się interesować losem jakiegoś papierowego człowieka, którego zdradziła kochanka, jako szczyt dramatycznego napięcia, lub w obrazie „martwą naturą".

Nie można dziwić się, że skoro artyści w dziełach swych stwarzają pozory obojętności na losy ludzkości, to również publiczność obojętnieje dla nich i ich dzieł.

Aby sztuka zachowała w kulturze społeczeństw dominujące stanowisko, aby nie była zdetronizowaną, należy wyrzec się mody płytkiej, taniości i tandety, pozy, blagi i kabotynizmu, a zarazem zerwać z drobnomieszczańskiem kramikarstwem w sztuce, przeżuwaniem wiecznie tego samego, co już dawno inni strawili, tylko dlatego, że jest to łatwem do zrozumienia, i wreszcie, należy zerwać z ciasnotą artystów zamkniętych w swej zaściankowości rzemieślniczej.

Nie obniżając doskonałości technicznej swych dzieł, należy mówić o czemś, co ludzkość może interesować, coby rzuciło hasła nowej monumentalnej WIELKIEJ SZTUKI człowieczeństwa. Techniczna doskonałość ma tylko wtedy swój sens, kiedy służy do przeprowadzenia jakiejś idei. Sama dla siebie staje się bezcelową, jest skazana zgóry na zagładę.

W haśle „sztuka dla sztuki" leżała przyczyna bankructwa impresjonizmu i leży również śmierć wszystkich późniejszych „izmów".

Jan Skotnicki

SZTUKA KOBIECA NA WYSTAWIE W „ZACHĘCIE“

(Patrz tekst na odwrocie)

(Patrz tekst na odwrocie)



Łuczyńska-Szymanowska. „Portret art. Ćwiklińskiej“



J. Wilczyńska. „Pastuszka“ Fot. A. Janczewska



Pia Górska. „Weronka“ Fot. Jan Ryś



Lorentowicz-Karwowska. Makieta teatralna

Ars Feminae

Właśnie dwa warszawskie pisma ogłosiły ankietę na temat, jakim powinien być nowy typ mężczyzny, aby odpowiadał nowemu typowi kobiecemu.

Ustawicznie bowiem rozbrzmiewa twierdzenie, że w psychice kobiecej coś się zasadniczo zmieniło i narodził się z oparów wojennych nowy człowiek, narazie tylko rodzaju żeńskiego.

A ten noworodek wyda dopiero nową, szczęśliwą ludzkość.

Jeśliby to twierdzenie przenieść na teren sztuki, trudnoby znaleźć tyle argumentów, aby nie obalono tej ryzykownej tezy.

Przeciwnie, skonstatować należy, iż na polu artystycznem nie grozi ludzkości ze strony kobiecej rewolucja.

I nie tylko w Polsce, ale nigdzie. — Natomiast zauważyć się daje powrót do przeszłości, nieśmiałość eksperymentowania i znana już oddawna sumienność kobieca.

Co więcej na całej wystawie, obejmującej 81 dzieł artystycznych różnego typu i miary, nie popełniono ani jednej lekkomyślności i „Ars feminae", jakie oficjalnie nosi miano wystawa, jest związkiem, nie wiem czy trwałym, ale mimowoli programowym.

Wprawdzie połączyły się pod jednym sztandarem biegunowo różne talenty, i z epoki impresjonizmu, i ekspresjonistyczne, i ultraparyskie z najnowszej doby i trochę starsze, holendrujące ku Holendrom i z pokostem Pruszkowskiego oraz jego szkoły — magazyn fasonów i manier, ale wszystko razem: dobra kobiecość.

Zresztą wszystko jedno: senat sztuki kobiecej, związek zawodowy, czy solidaryzm płci — jesteśmy w salonie dam, z których każda ma swój wdzięk, zdecydowany ton sztuki i częściej wtórny, niż samoistnie zdobyty, wyraz twórczości.

Ale, chwała Bogu i za to. Rzetelność pracy jest już tak ogromną zaletą, iż warto rozkrzyczeć się na wszystkie strony świata: chodźcie i patrzcie, czy tak uczciwie umiecie malować!

Do maestrji doszedł kunszt u pani Zofji Stankiewicz(ówny), w gigantyczność rozrósł się u Łuczyńskiej-Szymanowskiej, a w „martwej naturze" Marty Podoskiej osiągnął rzadką plastykę koloru, wywołał Whisterowsko - Carrièrowskie wspomnienia w obrazach znakomitej Boznańskiej i zatańczył barwami w obrazach Pii Górskiej i Gizeli Hufnaglowej.

Temperamenty naogół spokojne, ani nie burzą się ani nie rozsadzają ram salonu, ozdobią pokój „dobrej" sfery towarzyskiej, a dopasowane do garniturów mebli, stworzą nawet kulturalny wykwint. Typowy ołtarz westalek domowego ogniska, płonący dla kogoś, który przyjdzie zmęczony, zziajany. Niewiadomo kto: może kobieta, a może nawet bohater z ankiety... nowy typ męski.

A skoro za dziełami sztuki włóczy się ciało astralne, to nigdy wyraźniej nie zjawiło się, jak na tej wystawie „Ars feminae", wrzeszcząc wszystkiemi mgławicami swego istnienia:

— Nie dla nas to, ale dla ciebie, dla ciebie...

Tu kwiatek, tam krajobraz ukojny, ówdzie ogródek, chłopięca główka, cyganka, żniwiarka, pastuszka i domów pięknych kilka, są nawet straszni włamywacze i król epoki — sportowiec.

Wszystko jest prócz tej żmudy, która nazywa się negliżem i prawdą codziennego życia. O, jak dobrze, że jej nie zna „Ars feminae"!

A na tem tle dysonans.

Buntownica wkradła się w to grono. Zniszczyła konwenans, zamąciła spokój, poprzestawiała meble w saloniku, aby było inaczej, niż dotychczas, pięknie, ale na jej sposób. I dziadków ożywiła i babki zarumieniła swą krwią.

P. Irena Lorentowicz-Karwowska, winna, iż odmłodniał Pan Jowialski, „Pajace" pokraśnieli, Bałucki otrząsnął się z pyłu zadawnienia. Nie darowała nawet „Tosce" i Szekspirowi.

Zbudziła dawne postacie i kazała im znowu działać...

Żal mi, że stało się to tylko w teatrze.

Witołd Bunikiewicz

Elegancja malarska

Od pewnego czasu tak wyelegantniał świat malarski, iż poprostu wprowadza w zdumienie. Na malarzach prawie nie spotyka się innych ubrań, jak: fraki, smokingi, tużurki lub w najgorszym razie czarne marynarki.

Niektórzy twierdzą, iż zdarłszy ostatnie ubrania na codzień, wyciągnęli paradne kostjumy i przez cały karnawał udawali z powodzeniem rozbalowanych tancerzy. Na widok zaś mecenasów sztuki przeciągali się ospale na krzesłach w Ziemiańskiej, udawali, że ziewają ze zmęczenia i głośno rozpowiadali o powodzeniach balowych.

— I panowie chcą kupić od nich za byle co obrazy, — tłumaczy p. Czesław Garliński, konkurent „Zachęty" i IPS'u, stałym swym odbiorcom.

Proszę spojrzeć, czy tak wyglądają bankruci? Kryzys jest, to prawda, ale malarzom walą pieniądze drzwiami i oknami.

Mówiąc to, przysiadł się p. Czesław do artystów, aby wykombinować wraz z nimi mniej strojne ubrania, bo post już nadszedł i po balowemu na codzień nie wypada.

Jeszcze mógłby kto pomyśleć, że nie mają się w co ubrać.

Gorzej, niż pod Rokitną

Znakomity pejzażysta, świetny ułan, wyborny rybak i najmilszy kompan w jednej osobie mistrz S., o którego jubileuszowej wystawie napisano niedawno w Polsce okrągło 50 entuzjastycznych artykułów, tak podupadł na humorze, iż zaniepokojony o zdrowie malarza przyjaciel sędzia, miłośnik sztuki i posiadacz najpiękniejszych krawatów w Warszawie, zapytał tkliwie i z iście przewidującą troską w sercu:

— Mistrzu, powiedz, ile sprzedałeś obrazów na swej wspaniałej wystawie?

Mistrz zerwał się przerażony.

— Cofnij pytanie! Jest to tajemnica zawodowa, której nie mogę odsłonić. Jeśli powiem, iż sprzedałem mało, stracę znaczenie u mych odbiorców, bo cóż to za malarz, który mało sprzedaje. Gdy pochwalę się, że sprzedałem dużo, usłyszy Izba Skarbowa, a wtedy przepadłem.

Krótko mówiąc: sytuacja bez wyjścia. Takich czasów nigdy jeszcze nie bywało! Gorzej, niż pod Rokitną.

Rynek sztuki

Popyt na dzieła Sztuki jest obecnie w Paryżu mniejszy, niż kilka lat temu, mimo to prace dobrych artystów osiągają bardzo wysokie ceny. Ostatnio w Hotel Druot sprzedano:

Van Gogh — „Południe" (73 × 92 ct.) 200.000 fr.

Cezanne „Pejzaż" (60 × 72 ct.) 100.000 fr.

Cezanne „Kwiaty" (60 × 72 ct.) 168.000 fr.

czyli za mały obrazek płacono więcej, niż u nas za niejedną kamienicę albo folwark.

Za życia Van Gogh sprzedawał swoje obrazy po kilkadziesiąt franków. Cezanne wogóle nie mógł znaleźć nabywców.

Z prac żyjących artystów dolicytowano „Ananas" Matissa do 75.000 fr. „Dęby" Segouzana — 23.000 fr., obraz Vuillarda — 57.000 fr.

Wichry nad Ameryką Południową

(Dwie wojny i kilka rewolucyj).

Stosunki południowo-amerykańskie oddawna uchodziły u nas za synonim chronicznego bezładu, bezsensownych rewolucyj i niepotrzebnych wojen. Wypadki, jakie rozegrały się w ciągu ostatnich trzech lat na terenie Ameryki Południowej, potwierdziły w sposób aż nazbyt jaskrawy to niepochlebne dla Amerykan łacińskich mniemanie. Na ich usprawiedliwienie można tylko dodać, że tym razem rewolucje i wojny południowo-amerykańskie były spowodowane nietylko zamiłowaniem do awantur, lecz również i objektywnemi przyczy-

nami gospodarczemi, t. j. kryzysem, który nie oszczędził i tej wielce egzotycznej części świata.

Schemat rewolucyj południowo - amerykańskich był dosyć prosty. W praktyce wyglądały one następująco:

W Argentynie, najbogatszej i bodaj najlepiej rządzonej z republik południowo - amerykańskich, ceny mięsa i zboża (głównych artykułów wywozowych krainy Pampasów) spadły w sposób katastrofalny. Po latach niesłychanego wprost dobrobytu nadszedł okres biedy i zaciskania pasa. Argentyńczycy uznali, że winien jest rząd. W 1930 roku generał Uriburu poprowadził wojsko na Buenos Aires i proklamował się dyktatorem. Po roku zarządzono „wybory", które, przy energicznem współdziałaniu administracji, dały większość kandydatowi dyktatora — gen. Justo. Gen. Uriburu pojechał do Paryża i wkrótce potem umarł. Argentyńczycy, przekonawszy się, że rewolucja niewiele im pomogła, burzą się i gotują do nowej rewolucji. Rolnicy grożą, że jeśli rząd nie udzieli im większych kredytów, to w roku bieżącym nie dokonają zasiewów.

Do 1929 roku Brazyljanom wiodło się świetnie. Kawa, podstawowy artykuł eksportowy tego kraju, była bardzo droga. Za worek jej płacono 130 i więcej złotych. Słodko się żyło w San Paulo i pięknem Rio de Janeiro. Okręty nie mogły nadążyć z transportowaniem samochodów dla zbogaconych na kawie fazenderów. Kryzys wywrócił wszystko do góry nogami. Ceny kawy poleciały gwałtownie w dół. Któż winien? Oczywiście sprzedajny i niedołężny rząd. W październiku 1930 roku dr. Getulio Vargas, wódz liberałów ze stanu Rio Grande do Sul, wystąpił w charakterze zbawcy nękanej kryzysem ojczyzny i po dwudziestodniowych walkach objął władzę dyktatorską nad całą Brazylją. Już w lecie 1932 roku plantatorzy kawowi ze stanu San Paulo doszli do przekonania, iż Vargas nie zwalczy kryzysu. Sprzykrzyło im się bezustanne wrzucanie zbytecznej kawy do morza i zrewoltowali się przeciw niefortunnemu „odnowicielowi". Jednak Vargas zbyt mocno już wrósł w aparat państwowy, aby go łatwo można było usunąć. Zdławił bunt i w dalszym ciągu dyktuje samowładnie prawa swojemu narodowi.



Mapa polityczna Ameryki Południowej

Saletra zbogacała Chilijczyków. Artykuł ten stanowił 40% całego chilijskiego eksportu. W 1929 roku sprzedało Chile za miljard złotych saletry, w 1930 roku rozpoczął się kryzys na dobre i wartość wywozu saletrzanego spadła do 600 miljonów. Naturalnie zawinił zły rząd. Z wielkim trzaskiem wyrzucono dyktatora Ibaneza. Sytuacja jednak nie zmieniła się ani na jotę. Saletry nie kupują już prawie wcale. W Chile co parę miesięcy wybuchają nowe rewolucje, przybierające w sposób zupełnie wyraźny charakter ruchów społecznych.

Według powyżej nakreślonego schematu odbywają się wszystkie rewolucje południowo - amerykańskie.

Dużem urozmaiceniem w tem makabrycznem południowo - amerykańskiem przedstawieniu są dwie wojny, które wybuchły na dwóch krańcach lądu hiszpańskich conquistadorów.

Na południu Boliwja, podżegana przez kapitalistów północno - amerykańskich, zaatakowała Paragwaj, domagając się oddania granicznego stepu *El Gran Chaco.* Zdobycie tych pustkowi umożliwiłoby jej uzyskanie dostępu do wielkiej, spławnej rzeki Paragwaj, a pośrednio — i do oceanu Atlantyckiego. Kapitaliści północno - amerykańscy, grający pierwsze skrzypce w Boliwji, pragną zagarnąć tereny naftowe, znajdujące się w Chaco.

Na północy Peru pożałowało Kolumbji dostępu do rzeki Amazonki za pośrednictwem „korytarza" leticijskiego i odebrało 1-go września siłą terytorjum, które w roku 1928 dobrowolnie odstąpiło swojej sąsiadce. W peruwiańskiego d'Annunzia zabawił się awanturnik Oscar Ordonez, który na czele bandy uzbrojonych cywilów peruwiańskich zajął Leticię, kolumbijski port na rzece Amazonce. Nadmienić należy, że Leticia jest maleńką osadą, posiadającą zaledwie dwadzieścia chałup.

Obydwie wojny południowo-amerykańskie w niczem nie przypominają krwawych zmagań europejskich z okresu wojny światowej. Ludzie zabijają się w sposób przestarzały, naogół bez użycia gazów trujących, czołgów i wielkich haubic. Technika mordu jest w Ameryce Łacińskiej bardzo uwsteczniona. Trzeba umierać od marnych kul karabinowych.

Ku czemu zmierza Ameryka Południowa? Nie mamy zamiaru robić konkurencji zawodowym astrologom, rysującym dokładne horoskopy przyszłości. Faktem jest tylko, że zastraszający swojemi rozmiarami kryzys gospodarczy postawił południowych Amerykan w obliczu konieczności zasadniczej zmiany swojego światopoglądu gospodarczego. Niecierpliwy lud Południa nie chce biernie poddawać się fali kryzysu i usiłuje mieczem przeciąć trudności gospodarcze. Życie jednak udowadnia mu, że wojskowe „pronunciamentos" nie prowadzą do niczego. Przyszłość pokaże, jakich sposobów walki z kryzysem chwyci się po wyczerpaniu dotychczasowych środków lekarskich.

Nad Ameryką Łacińską przebiegają groźne burze, brzemienne błyskawicami i piorunami. Oby jak najrychlej wypogodziły się niebiosa i na horyzoncie tej bogato przez naturę wyposażonej krainy ukazała się tęcza — symbol pokoju i świetlanej przyszłości.

Bohdan Teofil Lepecki

Pośmiertne pismo nieśmiertelnego

W r. 1888 pan Juljusz Claretie wszedł do Akademji Nieśmiertelnych. Był to człowiek systematyczny. Sprawił sobie zeszyt i zaczął w nim notować powiedzenia, powiedzonka, spojrzenia, półuśmiechy i zmienny wygląd fizyczny swoich współnieśmiertelników. Zapisywał niektóre nastroje „znakomitej kompanji", obradującej nieraz z wielkiem roztargnieniem, uwieczniał niektóre odruchy „ciepłych" jeszcze wdów akademickich, wyrażających niezadowolenie z powodu niedość esencjonalnej naprzykład pochwały nieśmiertelnego nieboszczyka przez jego następcę, etc. Na stronice zeszytu padają imiona sławne, głośne, lub zgoła nieznane; nieznane u nas, ale nieznane i we Francji. Obok takich nazwisk, jak Coppée, Dumas, Boissier, Sardou, Renan, Pasteur, Lesseps, Cherbuliez (autor „Aventure de Ladislas Bolski"), Pailleron, Heredia, Leconte de Lisle, Taine, France, Lemaître, czytamy nazwiska, o których zawsze u nas było cicho i o których nigdy się już nie zająknie niczyje zaciekawienie — nawet w ojczyźnie pana Claretie'go.

Zanim go wybrano do Akademji Francuskiej, p. Claretie otrzymał urząd intendenta Komedji Francuskiej. Sprawił sobie zeszyt i zapisywał w nim swoje obserwacje zakulisowe. Tych zeszytów nagromadziło się dwadzieścia osiem p. t. „Journal d'un administrateur".

Zanim pan Claretie objął stanowisko intendenta „pierwszego teatru na świecie", pisywał sztuki sceniczne, powieści i feljetony. Z jego twórczości literackiej, jak sam to przeczuwał, zostanie w piśmiennictwie zapewne tylko ten dziennik, który zatytułował „Journal d'un academicien", a który ogłasza obecnie na łamach „Candide'a" syn nieśmiertelnego ojca, wyborny publicysta paryski, p. Georges Claretie.

Czyta się te „Vingt-cinq ans sous la Coupole" z prawdziwą przyjemnością. Pamiętnikarz jest szczery, nie bawi się w stylizację, pragnie być beznamiętnym protokulantem wewnętrznego życia pałacu Mazarin'a. Poprzez ten dziennik wchodzimy i my do tego historycznego gmachu, gdzie zasiadają ludzie opromienieni światową chwałą. Renan, Lesseps, Boissier, Pasteur. Po dziś dzień te nazwiska są autorytetami. Wymawiamy je z szacunkiem, z podziwem. Pan Claretie spoufala nas z nosicielami tych ogromnych nazwisk. Prześwietla ścianę pałacową i pokazuje tytanów w postaci zwykłych ludzi, pokazuje ich takimi, jakimi byli na codzień. Patrzymy na olimpijczyków literatury francuskiej i wiedzy w owych ich godzinach, kiedy się z bogów stawali muchami, jak Offenbachowski gromodzierżca Jowisz, który, miast rzucać zabójcze pioruny, brzęczeniem wypełnia scenę „Orfeusza w piekle". Jakże trudno być nacodzień bogiem!

Dwudziestego ósmego marca 1892 roku Dumas czyta na posiedzeniu Akademji konkursowe studjum o Józefie de Maistre. Claretie notuje:

„Znudzony Leconte de Lisle mówi do mnie:

— Mam dosyć tego Allobroga!

Ten Allobrog to Józef de Maistre.

Wtem daje się słyszeć charakterystyczne chrapanie. Wszyscy się oglądają. To przy kominku zasnął książę de Broglie.

Leconte de Lisle mówi do mnie, patrząc na Renana, który wrócił:

— Czy istnieje twarz, któraby lepiej wyrażała całkowity brak zdania i zadowolenie z tego braku?

Świetny komedjopisarz, autor „Kruków", Henri Becque składa wizyty kandydackie. Jest zwyczaj, że trzeba samemu postawić swoją kandydaturę do Akademji, jeżeli się pragnie zająć fotel, zwolniony przez śmierć akademika".

Pod datą 24 stycznia 1890 r. Juljusz Claretie zapisał:

„Becque przyszedł z wizytą do Józefa Bertrand'a.

— Zgłaszam się — powiedział — aby zająć miejsce po autorze dramatycznym.

— To żadna racja. Zwyczaj dopuszcza różnych literatów.

— Ależ — odpowiedział Becque — nie zgłosiłbym się, aby być pańskim następcą.

Na co Bertrand odparł:

— Ależ ja nie chcę mieć następcy".

W tydzień później do Claretie'ego zgłosił się Zola. „Jest pełen ufności, zdecydowany i zdziwiony, że był dobrze przyjęty nawet przez tych, których zadrasnął, jak Sardou lub Dumas — notuje Claretie. — Mniej jest zadowolony z Taine'a, wielkiego swego uwielbienia z czasów młodości".

W marcu 1890 r. Claretie zapisał:

„Dumas, Halevy, Pailleron, Sully Prudhomme i ja spiskujemy, aby przeprowadzić Pierre Loti. Co powiedzą, — dodaje Dumas, — jeżeli Zola, kiedy już będzie wybrany, ogłosi książkę pt. „La Merde" napisał Emil Zola, członek Akademji Francuskiej?"

25-ego kwietnia 1890 r. Renan, którego zapytano, co zostanie z Wiktora Hugo, odpowiedział z respektem:

— Oh! oh! z Wiktora Hugo, co zostanie? (Po chwili). Nic.

W r. 1895 Zola znów kandyduje. W styczniu 1896 r. Juljusz Claretie pisze: „Mówiąc o Verlaine'ie, który zmarł wczoraj (10 stycznia), Heredia i Halevy powiadają:

— To wielki poeta. Dawał piękne wiersze.

— Och! zobaczymy za dziesięć lat! — zawołał Brunetiere".

24 stycznia 1896 r. wybrano do Akademji Anatola France'a i margrabiego Costa de Beauregard. Claretie cytuje uwagę Sorela:

„Aby wziąć dziedzictwo po Lessepsie, polityk taki, jak Charmes, byłby zakłopotany, gdy France będzie mówił o Panamie ze swobodą Hieronima Coignard'a, mówiącego o Sezostrisie".

W maju 1896 r. poddano pod głosowanie kandydaturę Emila Zoli, sięgającego po fotel Dumasa. Najpierw odbyła się dyskusja, jak na naszych posiedzeniach jury literackiej nagrody państwowej. Coppée gorąco przemawiał za Zolą. Claretie notuje: „Akademja nie przyjęła Balzaka — mówił Coppée — niechże nie odrzuca Zoli! Mówił, że jeżeli Zola nie jest równy Balzakowi, to przynajmniej jest jego ekwiwalentem. (To określenie nie zrobi przyjemności mistrzowi medańskiemu). Na dziesięć tysięcy mistrzowskich stronic Zoli Coppée dyskwalifikuje sto, najwyżej dwieście stronic. Równa go z Rabelais'm, z La Fontaine'm, z Wolterem... Lecz wówczas Brunetiere, gwałtowny, napastliwy, straszny, blady, przekonany domaga się głosu. Rabelais? Ależ to było przed 350 laty! Przyzwoitość zrobiła postępy. La Fontaine? Nie podpisywał swoich *powiastek*. Wolter? Oświadczył, że wbrew jego woli wydrukowano jego bezecną „Pucelle". Zola wyzwolił pornografję: nadał jej prawo obywatelstwa; zrobił z niej szkołę. Jest to wielki pracownik, jak byłby wielkim kupcem. Jego dzieła są pomnikiem w rodzaju wieży Eiffla, etc... etc...

— Słyszeliście obronę, — rzekł Coppée, — teraz usłyszeliście oskarżenie.

Ale uciesznym momentem wieczoru była obrona Jean Aicard'a przez Sully Prudhomme'a:

„Aicard jest prawdziwym poetą. Jego książki mają siedem wydań, mniej niż książki Zoli. Ale koniec końców, mają siedem! Pisze sztuki teatralne, które zmuszają audytorjum do łez, gdy się je czyta, zmuszają do płaczu aktorów, gdy się je probuje, a które, kiedy się je gra, nie podobają się publiczności. Dlaczego?"

W głosowaniu Zola otrzymał czternaście głosów przeciw szesnastu głosom za Barboux. Obaj przepadli. Przestano się nimi zajmować. Wysunięto nowych kandydatów: Vandal'a i Theuriet'a.

Tych kilka cytat w bardzo małym stopniu daje wyobrażenie o smakowitości „Dziennika" Claretie'go. Jego spokojne notatki trzeba czytać po kolei, a wówczas zaczyna się splatać w naszych oczach cienka pajęczyna melancholji, która osnuwa życie najsławniejszego towarzystwa literackiego na globie.

My ciągle jeszcze nie mamy Akademji Literatury Polskiej, o którą coraz bezgłośniej woła historyczny czas dzisiejszy, wplątany w jazzband chamstwa i gospodarczej nędzy. Ten i ów koneser literatury ojczystej utrzymuje, że trudno byłoby obecnie zestawić w Rzeczypospolitej polskiej godny komplet akademicki pisarzy, że tedy jest zrozumiała powściągliwość rządu w sprawie ufundowania w tej chwili naszej Kopuły Literackiej. Ale mnie się zdaje, że brakiem dostatecznej ilości genjuszów zawsze będzie można motywować niepowoływanie do życia najwyższej instytucji twórczości pisarskiej. Jak gdyby tę instytucję miało się fundować właśnie dla genjuszów. Czy Jules Claretie był genjuszem? Czy genjalny Balzak należał do Akademji? Czy wartość pism Wiktora Hugo nie została oceniona wyraźnie na zero przez nieśmiertelnego Ernesta Renana? Czy nie posiadamy wielu literatów świetniejszych, niż pan Benoit, który właśnie wstąpił do Akademji Francuskiej, i niż Eugenjusz Brieux, który tej Akademji właśnie ubył?

— Ależ w takim razie, poco Akademja?! — zawoła ktoś tryumfująco. — Jej stara i wspaniała kopuła francuska trzeszczy pod naporem złośliwych anegdot, jej mury się rysują pod ciosami komedjopisarzy, nowelistów, dziennikarzy, ostatnio ją ośmiesza „Dziennik" Claretiego. Po co nam Akedamja?

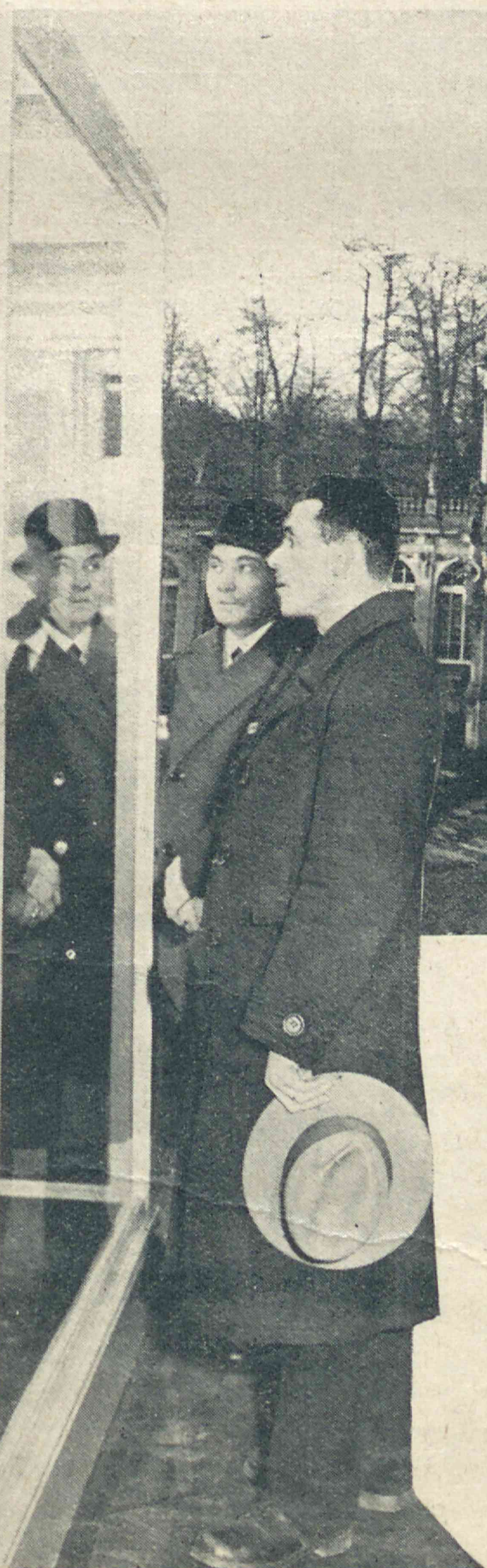
Nieporozumienie.

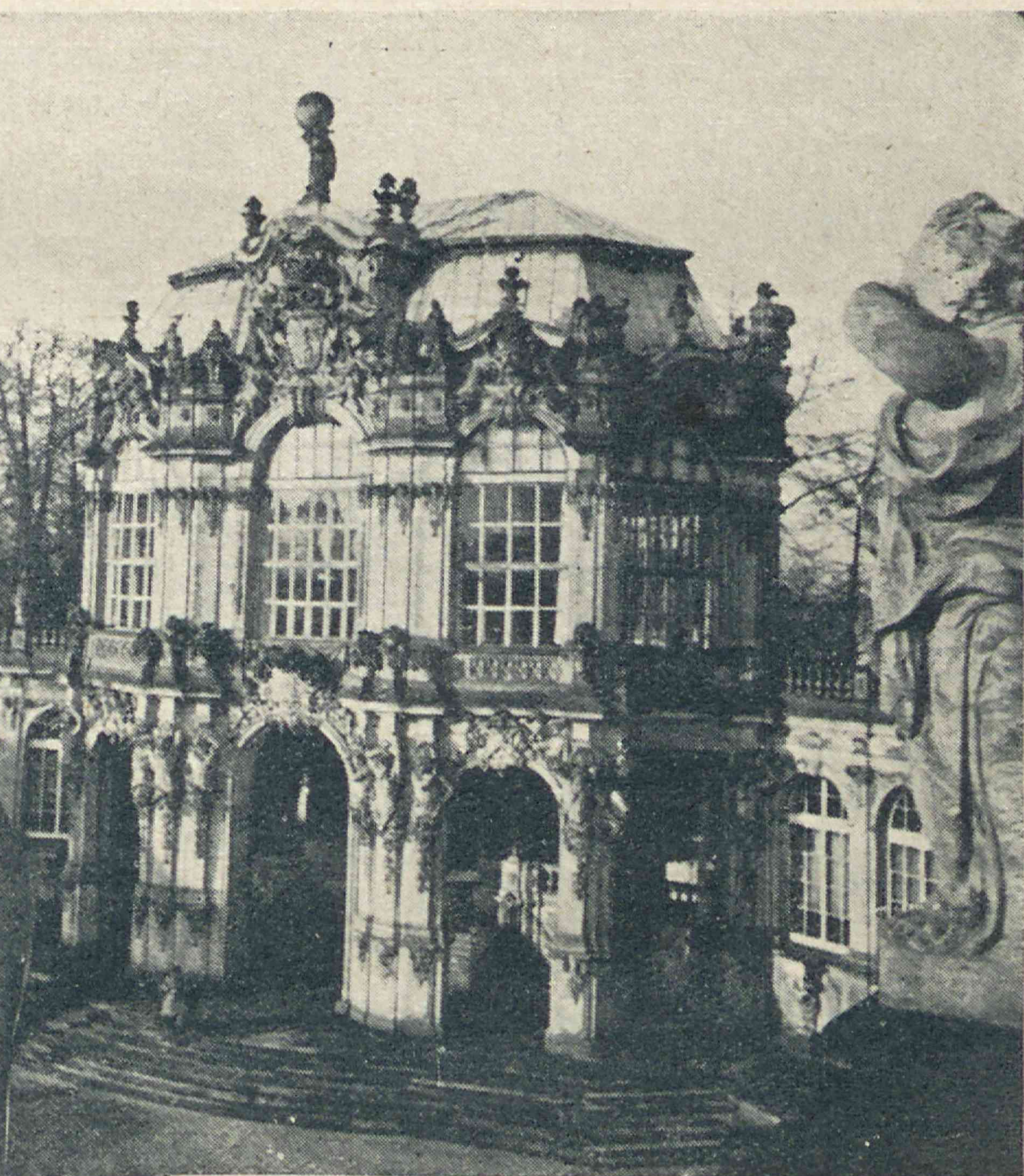
Akademja jest potrzebna nie poszczególnym pisarzom, lecz literaturze. Jej istnienie jest oficjalnym znakiem tego społecznego, państwowego przeświadczenia, iż twórczość literacka jest aktem niepospolitej wagi i czcigodnym.

Jules Claretie w swoim „Dzienniku" pokazuje ludzi w świątyni. Świątynia jest wspaniała, ludzie są niedoskonali. Nie mówię, że nie jest rzeczą zajmującą odsłanianie małości nawet wielkich ludzi.

Wacław Grubiński







Król polski w Dreźnie i jego dzieło

W pięknym pałacyku barokowym w Dreźnie, zwanym „Zwingerem" i zbudowanym przed 200 laty przez króla polskiego i elektora saskiego Augusta Mocnego, otwarto muzeum, w którem znajduje się figura, wyobrażająca tego króla w polskim stroju koronacyjnym.



TYDZIEŃ ŚWIATA

Potępienie mocarstwa

(V.) Po półtorarocznej zwłoce Liga Narodów nareszcie zdecydowała się oświadczyć, że najazd Japonji na Mandżurję jest pogwałceniem traktatów i suwerennych praw Chin do Mandżurji. Ta deklaracja, powzięta jednomyślnie przeciw głosowi Japonji i przy wstrzymaniu się... Sjamu, wywołuje u wielu uśmiech sarkastyczny:

— Chiny odniosły zwycięstwo w Genewie, a Japończycy zwyciężają w Dżeholu.

Zestawienie takie tylko pozornie wydaje się korzystnem dla Japonji. W rzeczywistości wynik głosowania w Lidze Narodów jest dla niej ciężką porażką moralną i zapowiedzią poważnych trudności materjalnych.

Należy stwierdzić, że międzynarodowa instytucja genewska po raz pierwszy potępiła wielkie mocarstwo. Dotychczas zdawało się, że umie ona karcić tylko maluczkich i nigdy nie podniesie głosu przeciwko możnym tego świata. Stało się inaczej.

Groźba Japonji wyjścia z Ligi Narodów jeszcze nie spełniła się i spełnić się może najwcześniej... za dwa lata. Tymczasem Japonja dąsa się i gniewa; dobrze się jednak zastanowi, zanim zdecyduje się na zerwanie ostateczne z Ligą, z której mandatu rządzi na wyspach Marjańskich i Karolińskich, będących doniosłą bazą morską na Pacyfiku.

Powodzenia w Dżeholu także nie przesądzają wyniku wojny o Chiny Północne. Wciągają w coraz trudniejszy i coraz niebezpieczniejszy teren, któremu niema końca. A Liga Narodów zaprasza do obserwowania tej wyczerpującej akcji zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosję Sowiecką.

Imperjalistyczne dążności Japonji, narzucone przez sfery wojskowe, mogą ją drogo kosztować.

Gra niemiecka

(sg.) Kiedy przed kilku laty w Niemczech obóz narodowy na stanowisko prezydenta Rzeszy wysunął kandydaturę gen. Hindenburga, opinja publiczna państw koalicyjnych posunięcie to uważała za wyzwanie.

— Jakto?! główny wódz armji wojujących Niemiec prezydentem Rzeszy!

Hindenburg przegrał wojnę, ale wygrał wybory.

Opinja europejska przycichła. Przy następnych wyborach na prezydenta Hindenburg spółzawodniczył, jak wiadomo, z Hitlerem. Świat cały życzył już powodzenia Hindenburgowi, byle nie było Hitlera!

Obecnie Niemcy mają i Hindenburga i Hitlera razem, na dwóch decydujących stanowiskach państwowych.

Zmarły Streseman, a później Brünning wygrywali sprawy niemieckie w Paryżu, Londynie i Genewie, strasząc ciągle Hitlerem.

— Jeżeli nas nie poprzecie, a jesteśmy ostatnią redutą spokoju i republikanizmu w Niemczech, będzie rządził wybujały, szowinistyczny nacjonalizm hitlerowski.

I Streseman i Brünning swoje uzyskali, poczem mogli odejść, jak przysłowiowi murzyni.

Na widowni ukazał się sam Hitler. Przestał być straszakiem. Stał się rzeczywistością.

Poczekamy jeszcze trochę, świat zacznie życzyć dobrze Hitlerowi. Bo Niemcy mają za pazuchą jeszcze jednego straszaka do wygrywania wobec zagranicy:

— Odejdzie Hitler, przyjdą komuniści!

Jak to dobrze w polityce ciągle straszyć! Na grzbietach komunistów wprowadzić będzie można prawdopodobnie niezadługo — Hohenzollernów...



Szczęśliwa Germanja

Niepotrzebny gmach

(Wig) Tymczasem Hitler wjechał rzeczywiście na komunistów. Na twierdzy ich—Domu Liebknechta wywieszono zwycięski sztandar Swastyki. Odtąd będzie to siedziba główna hitleryzmu, przeniesiona z monachijskiego „Szarego Domu".

Drugim gmachem, który miał się stać zdobyczą Hitlera po wyborach 5 marca, był Reichstag. Nie doczekał tego. Spłonął doszczętnie — nie ze wstydu, lecz, jak twierdzą depesze — z podpalenia.

W tem tylko sęk, kto podłożył ogień w kilkudziesięciu miejscach i to tak zgrabnie, że dym i płomienie zauważono dopiero wtedy, gdy już nie było ratunku.

Według komunikatu rządowego tego herostratesowego dzieła dokonał komunista holenderski. Ale inni zapytują: Do czego komunistom potrzebny był pożar parlamentu, z którego mogli szerzyć swą wywrotową agitację? Czy nie leżało zniszczenie tej wolnej trybuny raczej w interesie Hitlera i jego rządu? Przecież oddawna zapowiedział walkę z parlamentaryzmem. To samo głosił zastępca jego — von Papen, to samo trzeci wspólnik — Hugenberg.

Zresztą od roku już Hindenburg prowadzi walkę z parlamentem niemieckim, rozwiązując go co parę miesięcy, nie dopuszczając do odbycia jednego posiedzenia.

Niepotrzebny Niemcom dzisiejszym gmach spłonął.

Mowa ministra

(mn) Minister spraw wewnętrznych Pieracki wygłosił na plenum Senatu przemówienie, w którem dał wyraz trosce o praworządność i o właściwy stosunek między społeczeństwem a administracją państwa.

— Przecież administracja nasza jest emanacją Narodu — mówił. — Nie można wymagać dobrej woli od administracji, jeżeli ci, których ona obsługuje, nie odnoszą się z dobrą wolą do niej.

Słuszne te i mądre słowa wywołają szczerą radość wśród społeczeństwa. Wskazują bowiem, że p. minister Pieracki pragnie, aby administracja stała zawsze na gruncie praworządności i objektywizmu wobec wszystkich obywateli, bez względu na to, do jakiego należą obozu.



Kordon wojska i policji nie dopuszcza rodzin do strajkujących kolejarzy, którzy zabarykadowali się w warsztatach kolejowych w Bukareszcie



Wśród strajkujących kolejarzy dokonano aresztowań agitatorów komunistycznych

Nie tak dawno jeden z mówców opozycji, skarżył się, jakoby urzędnicy dawali się wciągać w szeregi stron walczących i wskutek tego narażają swój autorytet na szwank. Deklaracja p. ministra Pierackiego świadczy, że jest przeciwnikiem takich metod.

Wojsko kobiece

(K. W. K.) Gorąco broniąc się przed zarzutem militaryzowania młodych dziewcząt i powołując się na zasadę, że wojna — to zło konieczne, — grono starszych pań, uczestniczek wojny światowej, utworzyło Organizację Przysposobienia Wojskowego Kobiet do Obrony Kraju. — Obejmuje ona dziś 19 tys. członkiń ćwiczących, zorganizowanych w hufcach na terenie szkół średnich. Nowa odmiana „dziewcząt w mundurkach" — umie karnie stać w szeregu, strzelać z łuku i z „Manlichera", nakładać maski gazowe, a w dnie świąt narodowych, bierze udział w defiladach.

Referat, rozdany na konferencji prasowej, podkreśla znaczenie wychowawcze „tych metod wojskowych, które wpływają na podniesienie tężyzny, hartu i dzielności", wytwarzając zarazem „odpowiednie nastawienie psychiczne". Niewątpliwie metody te — spotkają się z krytyką starszej generacji, wielbiącej miękką, kobiecą kibić o harmonijnych gestach, dalekich od szorstkiego, wahadłowego ruchu rozbujanych przy marszu rąk. Będą też tacy, którzy, pokładając nadzieję w kojącym wpływie kobiety, zajmą nieprzychylne stanowisko wobec umundurowanej, buńczucznej dziewczyny.

Ale teraźniejszość widzi pewien romantyzm w tej — jeszcze jednej—odmianie nowoczesnej panny, której przy czerwonawym blasku obozowego ogniska marzą się awanturnicze przeżycia, dostępne dawniej tylko dla chłopców.

Obniżka komornego

(s) „Kurjer Poranny" poruszył „wielkie, skomplikowane zagadnienie, które narasta w miastach polskich". Sprawą tą ma być fakt, że 60% ludności nie może płacić komornego.

Według obliczeń autora, ogólna suma komornego w całej Polsce wynosi rocznie około 700 miljonów złotych. Suma olbrzymia. Komorne, zawsze według autora owego artykułu, jest zbyt wysokie i wskutek tego nie może być przez lokatorów płacone. Gdyby zastosowano wobec nich rygory prawne, dnia 1 kwietnia około 60% wszystkiej ludności w Polsce znalazłoby się bez dachu.

Jeśli jednak lokatorowie nie płacą, czy podobna domagać się od właścicieli domów, by płacili podatki i procenty od hypotek, oraz by utrzymywali domy w należytym stanie? Czy nie właściwiej byłoby poprostu skonfiskować prywatną własność nieruchomą? Tylko, że jeśli konfiskata nastąpiłaby na rzecz państwa, państwo zażądałoby prawdopodobnie natychmiast opłaty czynszu.

Kamienicznik nie ma w Polsce sympatji szerszych warstw. Pewno ten i ów niemało zawinił. Czy to jest wystarczającym argumentem, aby odebrać wszystkim — do reszty—prawo własności,—sięgnąć po prywatne oszczędności, ulokowane w domach? Tak samo zresztą niepopularny jest poborca podatkowy. Czy mamy domagać się dlatego zniesienia podatków?

Być może, że komorne jest za wysokie. Należałoby przeprowadzić rewizję tych opłat. Ale tak samo należałoby sprawdzić, czy wstrzymujący się od płacenia komornego obywatel czyni to z musu, czy ze złej woli. Obniżka komornego? Jeśli sprawiedliwa, owszem. Dopuszczenie natomiast do tego, by można było bezkarnie niedotrzymywać zaciągniętych zobowiązań, grozi ostatecznym chaosem, wzrostem zaległości podatkowych i zupełnym zastojem budowlanym, który jest jedną z głównych dźwigni życia gospodarczego.



Tegoroczny sezon zimowy w Zakopanem

O, kapryśności klimatu polskiego! Odpowiednik znajdziesz chyba tylko w istocie polskiego charakteru! Z czterech pór roku zima bywała jeszcze najstalszą. Tegoroczna obfituje w ciągłe niespodzianki. Ledwie spadnie śnieg, — już taje. Zaczęły się mrozy, wnet przychodzi odwilż. A jak w dolinach rolnicy na wiosnę modlą się o deszcz, Zakopane w zimie błaga Opatrzność o śnieg i mróz. Bo śnieg, to narty, a narty, to tłumny zjazd gości, to ruch, gotówka.

Makabiada tonęła w błocie. Potem niebo pociemniało, ociężało, góry spowiły się w gęste mgły, i zaczął sypać śnieg.

W „Morskiem Oku", u Trzaski, u Kasprowicza, — radość! Makuszyński przywdział strój narciarski do zabiegów bridżowych. Śnieg padał bez przerwy. Jeden dzień, drugi, trzeci. Przestał na chwilę, słońce przebiło mgły i nagle brzydka, źle zabudowana osada góralska, z ohydnem błockiem Krupówek, przeobraziła się w bajkę białobłękitną, biel śniegu nieprawdopodobnej czystości, błękit nieba bez skazy. Gdzie ruszyć, wszędzie młode, roześmiane twarze, wszędzie na długich, drewnianych łyżwach gibkie, zgrabne postacie, różnej płci, choć podobnie ubrane.

Lecz radość była krótka. Znów nastała odwilż, znów niebo i przepowiednie Pima spochmurniały. Za to znów tłumniej w szpetnych, brudnych i niepachnących dancingach zakopiańskich.

O Zakopane! Opatrzność wyposażyła cię szczodrze, lecz ludzie byli dla cię skąpi. Dla gości zimowych zwłaszcza, którzy przy krótkich dniach i chłodzie potrzebują większych wygód i komfortu, nie uczyniono nic, — prawie nic, — nie zdobyto się dotychczas nawet na kasyno. Lokale publiczne, w których przybysz zmuszony jest szukać rozrywki, są przeważnie smętnemi okazami niewybrednego, lokalnego smaku i nader pierwotnego zrozumienia nowoczesnych potrzeb kulturalnych. Przybyło wprawdzie parę hoteli (Bristol!), pewna liczba pensjonatów (z doskonale urządzonym i prowadzonym „Palace'm" w pierwszym rzędzie), w których te potrzeby kulturalne są bardziej uwzględnione. Wybudowane zostały lub nabyte przez różne zrzeszenia wspaniałe gmachy (podziwu godne sanatorjum Nauczycielstwa Polskiego, świetnie prowadzone przez dyr. Malickiego, utalentowanego malarza). Ale to wszystko mało, bardzo mało wobec tego, czego brakuje, — wobec tego, co razi, zraża, a nieraz nawet zawstydza.

Mówią teraz, jakoby gmina prowadziła układy o nabycie hotelu Stamary. Tam miałoby być urządzone kasyno. Ale negocjacje trwają już długo i do porozumienia nie dochodzi.

. . . .

...Znów słońce rozproszyło opalowe mgły, odsłoniło intensywny błękit nieba. W Pisanej, między dwiema ścianami stromych i wysokich skał, brzęczą dzwonki sanek... Jedna z najczarowniejszych, bliskich i łatwych wycieczek. Cóż za cuda stworzyła tutaj natura! Radosne wzruszenie rozpiera piersi. Życie jest piękne, skoro takiemi wrażeniami darzy...

Drożyna nad szumiącym strumieniem jest wąska. Z bardzo bliska mijamy starszego, siwego pana, niezwykle szlachetnej i wytwornej postaci. Towarzyszy mu młodsza pani, a do rąk skacze, wesoło poszczekując, rasowy pies. Pan Prezydent Mościcki na jednej z codziennych przechadzek...

Skłoniłem się, Pan Prezydent odpowiedział uprzejmem powitaniem,



Zakopane — Skibówki Fot. Photo-Plat



Pod Reglami, o zachodzie słońca

Fot. Dr. A. Wieczorek

Góral, który powozi, aż westchnął z wewnętrznej uciechy.

— Nie myślałem, że Pan Bóg pozwoli mi z tak bliska oglądać Pana Prezydenta. I jaki grzeczny! Będę miał co opowiadać dzieciakom!

P. Prezydent obrał sobie siedzibę w pawilonie, mieszczącym się przy dawnem Sanatorjum dr. Dłuskiego. Każdego dnia robi długie spacery, rozkoszując się jędrnem, górskiem powietrzem i porywającem pięknem widoków.

. . . .

Panu Bogu trzeba dziękować za cuda Tatr, któremi nas obdarzył. Lecz ludziom trzeba przypomnieć o obowiązkach, jakie wkłada na nich to wyposażenie. Gospodarka w Zakopanem, jako miejscowości uzdrowiskowej, domaga się gruntownej rewizji.

(sk.)



Zimowy fragment Zakopanego z widokiem na Giewont

PIĘKNY ZAPIS

(M.) Ofiarność na cele społeczne i kulturalne w ostatnich czasach zmniejszyła się u nas wydatnie. Tem bardziej zasługuje na podniesienie fakt, że niedawno zmarły znany adwokat warszawski, ś. p. Bronisław Wiślicki, brat wydawcy „Przeglądu Tygodniowego", pozostawił testament o licznych zapisach na cele społeczne i kulturalne. Folwark pod Warszawą przekazał Radzie Adwokackiej na schronisko dla starszych, nie mogących pracować prawników. Posiadłości na Pradze, papiery wartościowe, gotowiznę przeznaczył na utworzenie Akademji literacko-naukowej, złożonej w połowie z artystów i literatów, w połowie z uczonych. Galerję obrazów i antyki darował Muzeum w Katowicach. Otrzymały legaty kasa im. Mianowskiego i Bibljoteka publiczna.

Kto znał ś. p. Bronisława Wiślickiego, czyta te wiadomości z głębokiem wzruszeniem. Był to bowiem człowiek skromny, nie robiący wrażenia, że rozporządza jakimkolwiek majątkiem. Chętnie przebywał w kołach dziennikarzy, literatów, niekiedy i sam publikował różne artykuły, korespondencję. Wśród starszej generacji miał wiele znajomości i cieszył się szacunkiem i przyjaźnią.

Zapis ś. p. Bronisława Wiślickiego pięknie zamyka jego życie pracowite i pożyteczne.



Spotkanie z mikrofonem

Jak „mieszka" radjo?

Pytanie to zadaje sobie wiele tysięcy miłośników radja, wsłuchanych w dźwięki i głosy, które spływają do ich mieszkań z anten radjowych. Radjo jest znane przeważnie radjosłuchaczom od strony słuchawek a bardzo mało od strony mikrofonu. Kulisy radja, tak bliskie jego pracownikom, a więc speakerom, artystom i muzykom, osłonięte są tajemniczością dla szerszego ogółu radjosłuchaczów. Zajrzyjmy za te kulisy.

Warszawa, Zielna 25.

Duży 5-piętrowy gmach. Trzy piętra zajmują studja „Polskiego Radja", biura dyrekcji programowej i skomplikowane dla laika urządzenia techniczne, t. zw. amplifikatornia. To tylko część tej wielkiej machiny; która rozporządza centralną rozgłośnią i 5-ma prowincjonalnemi stacjami nadawczemi.

Jest godzina wieczorna. Przez obszerny holl dostajemy się na pierwsze piętro. Miły przedpokój o podłodze wyścielonej suknem. Fotele klubowe.

— Więc to tu... — przerywam nagle rozpoczęte zdanie, gdyż wzrok mój zatrzymał się na szklanej tablicy, wiszącej nad drzwiami, na której fosforyzującemi literami lśni napis: „Cisza! Radjostacja czynna!"

— Niechże pan się nie krępuje i mówi głośno. Drzwi od studja są doskonale izolowane i chronione przed hałasami. Napis, to znak, że w tej chwili ze studja nadawana jest audycja i nikomu tam wchodzić niewolno. Wobec tego złożymy najpierw wizytę w studjo speakerowskiem.

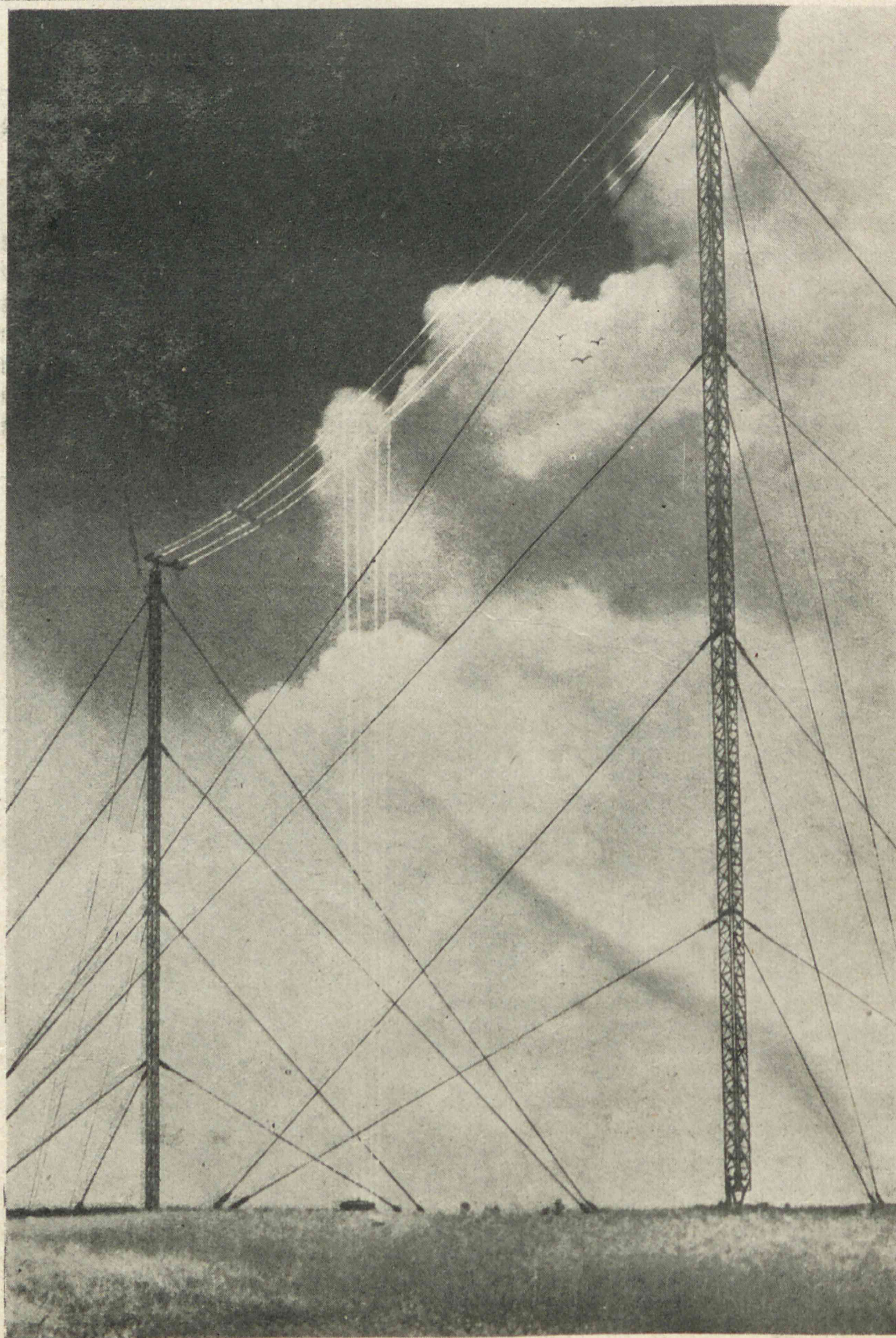
Drzwi na lewo. Duży pokój biurowy. Przy telefonie urzędnik udziela informacyj i wyjaśnień reklamującym słuchaczom. To tak zwany inspicjent, który jest gospodarzem studja, przyjmuje artystów i prelegentów, wprowadza ich do odpowiedniego studja, poucza, jak przemawiać do mikrofonu, uspokaja tych, których ogarnia trema mikrofonowa. Jestto człowiek, który cieszy się ogromnem wzięciem i popularnością wśród artystów i prelegentów, bo... po skończonej audycji wypłaca honorarja.

Na lewo drzwi zakryte grubą kotarą. Nad drzwiami czerwona lampka. Po chwili lampka gaśnie. Można wejść. Otwieramy obite grubym materacem drzwi i znajdujemy się w małym kwadratowym pokoiku. Pokój — sitko. Takie jest pierwsze wrażenie, gdyż ściany tego pokoiku żółtawego koloru pokryte są specjalną podziurkowaną masą. Jestto tak zwany celotex, materjał, którym wyłożone są ściany wszystkich studjów ze względów akustycznych.

Wprost drzwi wejściowych biurko speakera. Na biurku z prostokątnej skrzynki patrzą na nas różnokolorowe oczy lampek, sygnałów i przełączników. To urządzenie, łączące studjo speakera z innemi studjami i z amplifikatornią. Na środku biurka kilka mikrofonów różnych typów. Z prawej strony trójtarczowy stół gramofonowy. Na biurku speakera, pośrodku dokładny program dnia, wykazy, komunikaty i stoper, nieodstępny towarzysz speakera. Właśnie trafiamy na moment wieczornej zmiany warty przy mikrofonie. P. Tadeusz Bocheński oddaje berło w ręce swego kolegi, p. Z. Świętochowskiego.

Więc to stąd codziennie, jak rok długi, płynie zapowiedź na cały kraj, na całą Europę: „Hallo! Warszawa, Kraków, Wilno... rozpoczynamy..."

Idziemy dalej. Duża sala z wspaniałym żyrandolem. Miejscami ściany przykryte ciężkiemi draperjami. Lśnią kule mleczne lamp, których blask odbija się w czarnych pudłach fortepianów i pianin. Kilka mikrofonów na podjum, sygnały czerwone i zielone. W skrzynce telefon, którym można porozumieć się z reżyserem. To wielkie studjo rozgłośni warszaw-



Maszty antenowe radjostacji raszyńskiej



„Djabeł i Karczmarka", w wykonaniu: Halskiej, Meliny i szkoły dramatycznej

skiej. Właśnie odbywa się próba „Jima i Jilla"......

Czas nagli. Chodźmy dalej. Rzucamy okiem na minjaturowe studjo odczytowe. Na biureczku zegar, a pod nim tabliczki z napisami: „Głośniej! Ciszej! Wolniej! Szybciej! Czas kończyć!"

Opowiadają, że kiedyś na próbie głosu reżyser swojemu dobremu znajomemu, który miał stanąć poraz pierwszy przed mikrofonem, zaczął naprzemian zapalać lampki przy poszczególnych napisach. Zdezorjentowany debjutant wyleciał ze studja spocony, bliski nerwowego szoku.

Jesteśmy na drugiem piętrze. Do uszu moich dochodzą z długiego korytarza jakieś dziwne odgłosy. Szczekanie psa, okrzyki, gwar wzburzonego tłumu, wszystko na tle mrożącego krew w żyłach dźwięku kajdan i łańcuchów.

— To nic. Próba akustyczna do słuchowiska. Rzecz u nas zwykła.

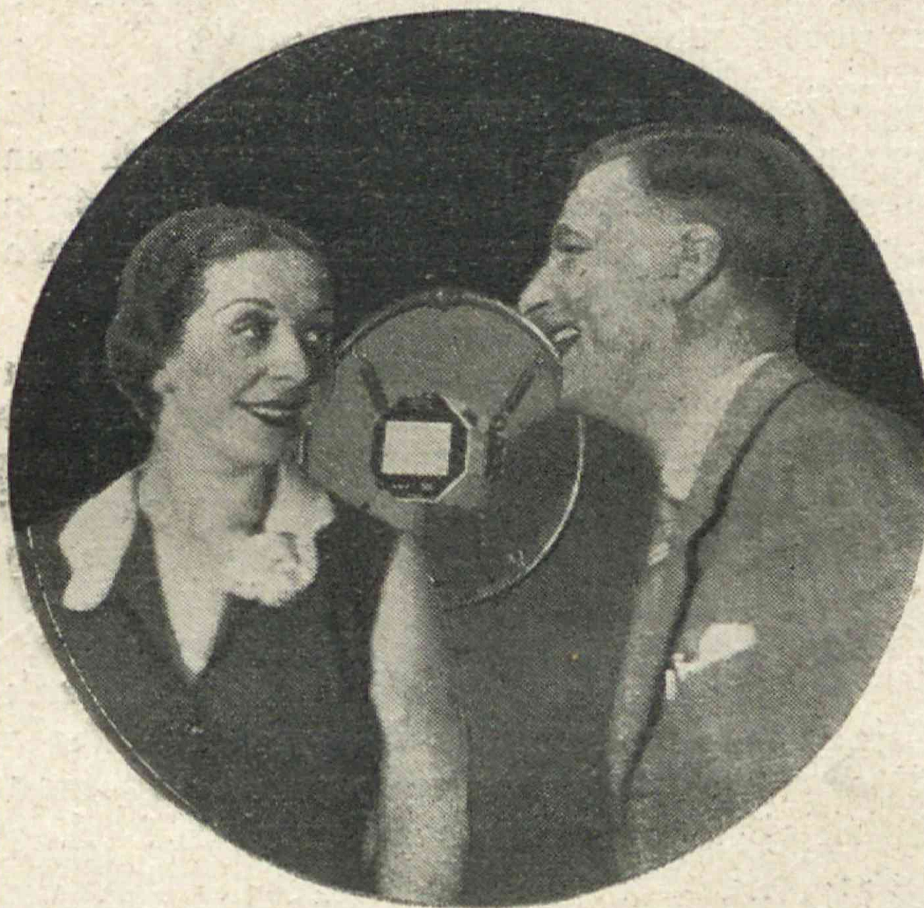
Zielone studjo literackie robi wrażenie jakiegoś klubu. Wygodne fotele, podręczna bibljoteka, na ścianach jasne plamy obrazów. Przy mikrofonie grupa artystów.

— Proszę państwa!—rozlega się z głośnika głos reżysera. — Jeszcze raz proszę kwestję od słów: ...„zaledwie wczoraj wrócił z podróży, a dziś już znów wyjechał". I proszę mówić bliżej mikrofonu i wybijać poszczególne kwestje.

Opuszczamy studjo i wchodzimy do pokoju reżyserskiego. Duży stół, na którym stoją modulatory, zaopatrzone w dziesiątki przełączników. Różnokolorowa gama świateł sygnałowych. Reżyser koryguje aktorów, znajdujących się w studjo, za pośrednictwem małego mikrofonu.

Parę kroków dalej królestwo techniki — amplifikatornia, wzmacniacze. Tablice rozdzielcze, przełączniki, modulatory... Cała gęstwa urządzeń technicznych, w której laik czuje się, jak na bezdrożach dżungli.

— A wszystko to takie proste — tłomaczy dyżurny inżynier — głos wypowiedziany w studjo dostaje się przewodnikami do amplifikatorni, tu jest modulowany i wzmacniany i dopiero stąd kablem płynie do Raszyna, oddalonego od Warszawy o 23 kilometry. Tam głos po przejściu przez aparaturę, która go jeszcze raz moduluje, dostaje się na antenę, zawieszoną na masztach 200-metrowej wysokości. Stamtąd dopiero głos i muzyka płyną w świat.



Romanówna i Maszyński przy mikrofonie

— Hallo Wilno! Hallo Kraków! — odzywają się co chwila telefony. Specjalne kable łączą centralną rozgłośnię ze wszystkiemi stacjami prowincjonalnemi, które w danym momencie transmitują program warszawski względnie vice versa.

— Dziś mamy koncert międzynarodowy. Transmitujemy Wiedeń. Oczywiście kablami, co jest bardzo kosztowne, ale za to pewne. Transmisja drogą powietrzną zawsze narażona jest na niespodzianki.

Amplifikatornia „Polskiego Radja" przy ul. Zielnej to punkt, który często bywa połączony kablami telefonicznemi z całą Europą. Międzynarodowe koncerty polskie transmitowane są nieraz przez kilkanaście broadcastingów europejskich, a więc słuchane przez dziesiątki miljonów radjosłuchaczów europejskich.

I tak codziennie bez przerwy, bez względu na święta, pracują rozgłośnie, nadając 10-godzinny przeciętnie program. Opracowane w odpowiednich wydziałach programy na kilka tygodni naprzód są pieczołowicie przygotowywane i realizowane według zgóry ułożonego planu. Wszak radjo liczy się już nietylko z minutami, lecz nawet z sekundami. Punktualność to jedna z ambicyj, która odgrywa dużą rolę w pracy radjowej.

Przyznać trzeba, że „Polskie Radjo" trzyma się ściśle swego „rozkładu jazdy".

Jest godzina 23.

„Hallo! Za chwilę rozpoczynamy transmisję muzyki tanecznej z lokalu..."

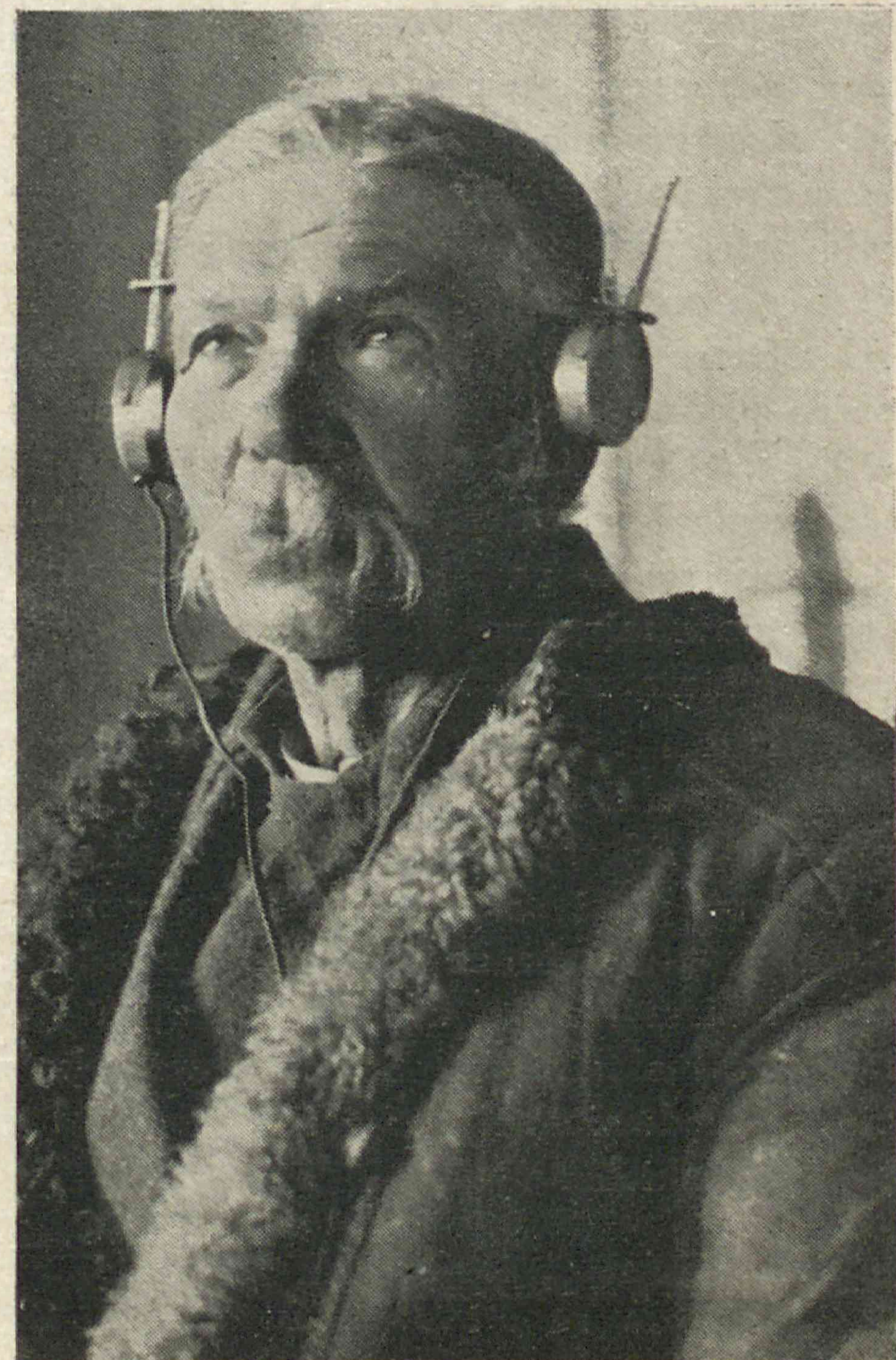
Po minucie dochodzą z kontrolnego głośnika dźwięki skocznego foxa.

— Jedziemy o czasie — mówi z dumą dyżurny inżynier, jakby był naczelnikiem stacji kolejowej. — A może pan redaktor odwiedzi nas kiedyś w Raszynie. Zorganizujemy wycieczkę na maszt antenowy. Dwieście metrów w górę, to niebyle co. Trzeba mieć dużo wprawy, aby w 45 minut wejść na szczyt. W czasie silnego wiatru maszt na górze chwieje się mocno. Odchylenia dochodzą do 20 cm.

— Dziękuję! Na to się nie piszę. Fatalnie znoszę podróż morską i wycieczki wysokogórskie!

Gdy opuszczałem gmach „Polskiego Radja", ścigał mnie głos speakera, życzący wszystkim dobrej nocy, a jeszcze na ulicy brzmiał mi w uszach hymn narodowy, którego w tym momencie słuchał cały świat...

B. Z.



Gospodarz słucha radjowej audycji rolniczej na „DETEFON"

Świat książki

DWIE POWIEŚCI „WSPÓŁCZESNE"

Al. Konar, obserwator przemian obyczajowych w życiu mieszczaństwa warszawskiego, autor poczytnej powieści pt. „Siostry Malinowskie", dotychczas ukazywał nam troski i radości pokoleń przedwojennych. Teraz pragnie choćby w syntetycznym obrazie nakreślić swój stosunek do generacji, która wyrosła i dojrzała po wojnie.

Młode pokolenie Nawikowskich nie bardzo się udało, według opinji Al. Konara. Nie przyjęło kultury, dobrych manier, zamiłowań estetycznych starszych, którzy „rynkom wschodnim" zawdzięczało swój dobrobyt i stanowisko społeczne. Winterowie i Nowikowscy stracili majątki przez wojnę, nie wszyscy potrafili przystosować się do nowej konjunktury. Czy nowe pokolenie Nowikowskich nie umiało chwycić steru życia w ręce? W rzeczywistości tak, w powieści Konara — nie.

Powieść Al. Konara p. t. „My i dzieci" zawiera piękne sylwetki ludzkie. Babunia Nowikowska i Zdzisław wzruszają. Miłość Zdzisława dla matki jest przedziwnie piękna. Konar chce nam zasugerować, że ten stosunek do rodziców jest czarodziejskim szczątkiem dawnych, przedwojennych czasów! Babunia Nowikowska na schyłku swego dziewiątego dziesiątka lat mówi: „dobroć stwarza kulturę, a nie kultura dobro".

Starsza generacja czytelników nową powieść Al. Konara przeczyta z przyjemnością. Słuszne są dywersje autora pod adresem „kamieniczników", którzy nie chcą czy nie potrafią podnieść walorów architektonicznych stolicy. Warszawie należy się to już dawno, by poginęły z głównych ulic nędzne budy i klitki. Al. Konar, jako warszawianin, upomina się o piękną i schludną szatę dla naszej stolicy. Czyż to jest jednak tylko wina „leniwych kamieniczników?" Powieść Al. Konara jest w pewnej mierze dokumentem, ujawniającym, jak ludzie przedwojenni patrzą na naszą współczesność.

Obrazem tej współczesności jest również powieść p. t. „W sidłach miłości", młodego beletrysty p. Jana Orskiego. Daje ona plastycznie narysowaną postać Joanny, która broni się przed młodym człowiekiem i ulega mu, gdy zaczyna jej mówić o małżeństwie. Tak reagowały kobiety przedwojenne. Teraz nie stawia się, jakoby, takich żądań!

E. C.

„POLSKA A MORZE"

Książka o prostym, skromnym tytule, zupełnie nieznanego autora. Jest to, zdaje się, pierwsza praca Władysława Gindricha, — pierwsza, lecz napewno nie ostatnia. Napisana — jak to zaznacza p. min. Kożuchowski w przedmowie — „dla Polaka, urodzonego już na wolnej ziemi, wychowanego w polskiej szkole", — nie posiada jednak charakteru szkolnej „piły", a dorosły czytelnik zapozna się z nią z prawdziwą przyjemnością. I nietylko z przyjemnością, lecz i z rzetelną dla siebie korzyścią. Pomimo bowiem długich artykułów w prasie i wszechświatowego wrzenia wokół spraw naszego wybrzeża — przeciętny obywatel operuje jedynie komunałami i superlatywami, jakiemi darzy „największą chlubę gospodarki państwowej — Gdynię". W gruncie rzeczy mało co o tem wiemy. Tylko nieliczna garstka twórców Gdyni i bezpośrednio z portem związanych ludzi orjentuje się w znaczeniu tej placówki dla Polski.

A przecie punkt ten koncentruje uwagę całego świata. Współtwórca Gdyni, b. minister Kożuchowski w pięknej przedmowie do książki Wł. Gindricha — opowiada następujące zdarzenie: „W jednym z portów północnej Afryki turysta polski próbował z trudem wyjaśnić miejscowemu obywatelowi, gdzie jest Polska i co to za kraj — Polska. Przypadkowo podczas rozmowy padło słowo: Gdynia - port. To jedno słowo wystarczyło dla zrozumienia, że tam jest Polska, gdzie jest Gdynia, gdyż cudzoziemiec ten widział statki płynące pod polską banderą z portu macierzystego Gdynia".

Więc już nie grobowce przeszłości, nie umarła świetność przedrozbiorowych czasów jest symbolem polskości, lecz świeży, tynkiem jeszcze pachnący, czyn młodego państwa.

Tytuł — „Polska a morze" — jest zupełnie uzasadniony, bowiem znaleźć w tej książce można wszystko, co dotyczy naszego stosunku do morza w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie zapomina on o pierwszych podróżnikach polskich i szczegółowo przedstawia nasz eksport i import. Obok rozdziału, traktującego o naszych możliwościach kolonizacyjnych, mamy wiadomości dotyczące polskiej marynarki handlowej i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że książka Wł. Gindricha zyska szybko prawo obywatelstwa w szkolnictwie średniem i wielu rozwichrzonym i zawadjackim naturom młodzieńczym wskaże odpowiednią dla ich usposobienia drogę życia — do marynarki polskiej.

K. W. K.

Ostatnie tłumaczenia

E. Temple Thurston. „Portret szpiega". Dokoła tajemniczej i głośnej w czasie wielkiej wojny osoby tancerki Mata Hari, rozstrzelanej przez francuzów za szpiegostwo, powstała już cała literatura. Są to jednak abstrahując od mocnej powieści A. Struga przeważnie brukowe romansidła, utrzymane w tonie najgorszej sensacji. Wyjątek stanowi powieść Thurstona, napisana fascynująco i ujmująca postać bohaterki nie pod kątem sensacji, lecz psychologicznego wytłomaczenia.



Akcja żywa, postacie plastyczne, a osoba Maty Hari potraktowana sympatycznie z dużą tendencją do rehabilitacji jej działalności, wypływającej z żądzy odwetu i odwiecznej walki płci. Książkę, bardzo żywo napisaną i dobrze przetłomaczoną przez B. Kopelównę, czyta się z niekłamanem zainteresowaniem.

M. Baring. „Daphne Adeane". Powieści z tak zwaną „tendencją" muszą być dziełem rzetelnych talentów, w przeciwnym bowiem razie stają się jedynie makulaturą, zwłaszcza gdy są napisane dla obrony, lub zwalczania pewnego utartego kanonu. Powieść M. Baring należy niestety do tej kategorji. Ruch rozwodowy w Anglji zmusza widocznie niepowołane pióra do stawania w obronie tezy nierozerwalności małżeństwa. Jeśli jednak obrona przeprowadzona jest w sposób tak niezręczny, wywołuje skutek wręcz przeciwny. Żywy i poprawny przekład Janiny Bucholtzowej jest najdodatniejszą stroną powieści.

Sigrid Boo. „My, które chodzimy kuchennemi schodami". Trzeba posiadać przenikliwe spojrzenie Octava Mirbeau'a, poparte błyskotliwym talentem, by umieć spojrzeć na życie od strony służbowego pokoju. Może powstają wtedy dzieła brutalne, lecz prawdziwe. Tymczasem naiwna historyjka o pannie „z towarzystwa", przebranej za pokojówkę, zakochującej się na dobitkę w przebranym również za szofera inżynierze, mogłaby roztkliwiać pensjonarki, lecz z okresu mocno przedwojennego. Dziś naiwna ta powieść, nie posiadająca ani jednego typu plastycznie narysowanego, irytuje i śmieszy papierową afektacją. Sielankowe to, ckliwe i nic z życiem nie mające wspólnego. Szkoda naprawdę starannego i czystego przekładu Anieli Waldenbergowej, nieproduktywnie zużytego na utwór tak bezwartościowy.

J. S. W.

*

Ilja Erenburg: „10 HP. — Życie auta". W tłomaczeniu Broniewskiego ukazał się obecnie znakomity reportaż z rozwoju wielkoświatowego przemysłu i z życia nędznego robotnika, tkwiącego jak automat przy stalowej taśmie fabrycznej, z dziejów lśniącej, sprawnej maszyny, toczącej się zwycięsko po drogach świata i losu małego człowieka, którego więzi praca przy warsztacie, czy na plantacji, zabija stalowa prasa, kula fabrykanta, bat plantatora, lub nieudana spekulacja giełdowa. Erenburg z doskonałą znajomością stosunków międzynarodowych na wielkich rynkach i z umiarem artysty zestawia i przetasowuje dokumenty, daje przekroje finansowych i przemysłowych posunięć i przewrotów.

Ale jego nowa książka, kreśląc przerażający obraz miażdżonego przez maszynę człowieka, daleka jest od rewolucjonizmu poprzednich jego utworów. Już nie bunt, nie nienawiść, ani nawet cynizm, ale raczej sentymentalne skrzywienie żalu wylania się z pośród zdań i obrazów sławiących groźną, niezwalczoną supremację maszyny i pieniądza.

H. M.

Komedja Winawera w Teatrze Letnim

To nowe *Kłamstwo* świetnego felje-tonisty i uczonego, podane nam ze sceny teatru w Ogrodzie Saskim w *smacznym chlebie* błyskotliwej sztuki komedjopisarskiej — ma wszelkie cechy zgoła europejskiego wypieku. Jest to danie literackie naprawdę smaczne pod każdym względem, a kłamstwa w niem zawarte mają niepodrabiany wdzięk prawdziwego dowcipu i wybitnej inteligencji. Ten lekkostrawny chleb komedjowy wypieczony jest z najprzedniejszej mąki intelektualnej, nadziany rodzynkami konceptów w najlepszym gatunku, wyrośnięty na drożdżach mądrej, łagodnej ironji myśliciela i artysty. Nie stawiając sobie tym razem głębszych zadań psychologicznych ani społecznych, w bardzo przyjemny i inteligentny sposób zasyca Winawer elementarną potrzebę kulturalnego widza teatralnego: spędzenia paru godzin na miłej, niefrasobliwej i niegłupiej zabawie. Cała krytyka stołeczna w zgodnie pochwalnym tonie oddaje autorowi pełną sprawiedliwość. Publiczność dodaje od siebie znacznie więcej: entuzjazm szczerej wesołości.

Do osiągnięcia tego rezultatu walnie przyczynił się wyborny zespół wykonawczy, z werwą i temperamentem zestrojony przez niezmordowanego kapelmistrza lekkiej muzy komedjowej — dyr. Emila Chaberskiego. Na czele zespołu — dwie gwiazdy najpierwszej komedjowej wielkości: Jerzy Leszczyński i Mieczysława Ćwiklińska.



„Kochające się małżeństwo": dr. Torgau (Leszczyński) i jego żona (Ćwiklińska)

Leszczyński, świetnie usposobiony, najwidoczniej zadowolony z „dobrze dopasowanej" roli lekarza-cudotwórcy, daje — według Karola Irzykowskiego — „postać kipiącą życiem, sympatyczną i warjacką". Warto zobaczyć tę burzę — powiada znakomity krytyk — która szaleje w jego osobie na scenie przez trzy akty...

Ćwiklińska zadała sobie znaczny trud, aby dać coś odmiennego — i nie została należycie oceniona. Część krytyki skrzywiła się zlekka na jej przezabawną — niby czeszczynkę. Za to „głos publiczności" stanął całkowicie po stronie artystki. Najkulturalniejsi spożywcy chleba winawerowego nietylko bawią się smacznem kłamstwem wykonawczem „milost pani" Mieczysławy, lecz niejednokrotnie przerywają jej rozkoszne „czeskie" djalogi ogłuszającemi polskiemi brawami...

Te same brawa dosięgają i pozostałych sprawców wybornej zabawy brunonowej z panią Hanną Różańską, Janecką, Peszyńską, — przezabawnego „nieporadnika" Orwida, — Sochę, Kierczyńskiego, no i autora...

Tak więc, według dowcipnego określenia red. Syruczka, „winaweritas" zwyciężyła na scenie Teatru Letniego! *Na zdar!*

Scena z aktu II-go: (od prawej) Orwid, Ćwiklińska, Kierczyński, Leszczyński, Różańska

Fot. Jan Malarski

TRYUMF J. WĘGRZYNA W „KEANIE" DUMASA

Nie trzeba dziś do dumasowskiego widowiska podchodzić z „mędrca szkiełkiem i okiem". Nie należy go dziś „rozumem dochodzić". Zapewne, kiedyś, przed stu czy może jeszcze przed pięćdziesięciu laty, *genjusz* tego utworu był zgoła poważny, jego *szaleństwo* nietylko dramatyczne, ale nawet tragiczne. Brzmiały w nim nuty nieomal buntu społecznego, może wręcz — rewolucyjności. Parjas społeczny, nędzny „aktor" przeciw lordom, wielmożom tego świata! Malowany król kulis przeciw prawdziwemu królewicowi! Widownia aż dygotała z przerażenia...

Dziś... została tylko przerozkoszna, przemiła bajka teatralna. Bajka o teatrze. O aktorze. O wielkim aktorze. Powiedzmy jeszcze wyraźniej: została wielka popisowa *rola aktorska*. Ale jaka rola! Rola nad role! Arcyrola! Ekstrakt stuprocentowej aktorskości na przestrzeni niezadługiego (3 godziny) wieczoru teatralnego! Zagrać taką superrolę raz do końca dni aktorskich... Marzenie wszystkich wybitnych aktorów świata przez całe trzy pokolenia — od r. 1833 do 99-go conajmniej! I dziś jeszcze marzyłby chętnie niejeden mocarz sceny, gdyby utwór Dumasa nie był trochę zapomniany. Zwłaszcza u nas. Bo na całym świecie grywają „Kean'a" do dziś. Jeżdżą z nim włosi, niemcy, anglicy, rosjanie. Z naszych grali go za pamięci obecnego pokolenia: Kotarbiński, Ładnowski, Żelazowski. Wcześniej nieco szaleli gościnnie: Maggi, Rossi, Salvini, Zacconi — cała plejada największego aktorstwa włoskiego! W Niemczech nie kto inny, jak niedościgniony boski Kainz...

U nas to odkopane *szaleństwo* aktorskie przypadło — Józefowi Węgrzynowi! Okazał się godny jego *genjuszu*. Dźwignął je. Zwyciężył. Więcej nawet: zatryumfował! Po akcie I-ym wywołano go na premjerze trzy razy, po trzecim — pięć, po kulminacyjnym piątym — okrągłe dziesięć!

W takim złocie doraźnego uznania płaci publiczność w rzadkich tylko wypadkach prawdziwego uniesienia. Tryumf Węgrzyna był w tym momencie tryumfem teatru jako takiego. Jego niespożytości czarodziejstwa, siły oddziaływania.

Część tej zasługi zapisać należy na dobro świetnego i celowego wysiłku Teatru Narodowego, dokonanego na skinienie magicznych pałeczek Karolowych: Borowskiego i Frycza.



Józef Węgrzyn — Kean i Zofja Lindorfówna — Anna
Fot. Jan Malarski

W kilku wierszach

Ślepa sprawiedliwość. Ernest Toller, wybitny ekspresjonista niemiecki, autor słynnego „Hinkemana", sztuki, która nietylko na scenach niemieckich, ale i u nas (znakomity Artur Socha w roli tytułowej!) miała duże powodzenie, — napisał nowy utwór teatralny p. t. *„Die blinde Göttin"*. Wystawiona po raz pierwszy w wiedeńskim Teatrze Raimunda, sztuka nie miała powodzenia i szybko zeszła z afisza.

AZEF W WARSZAWIE

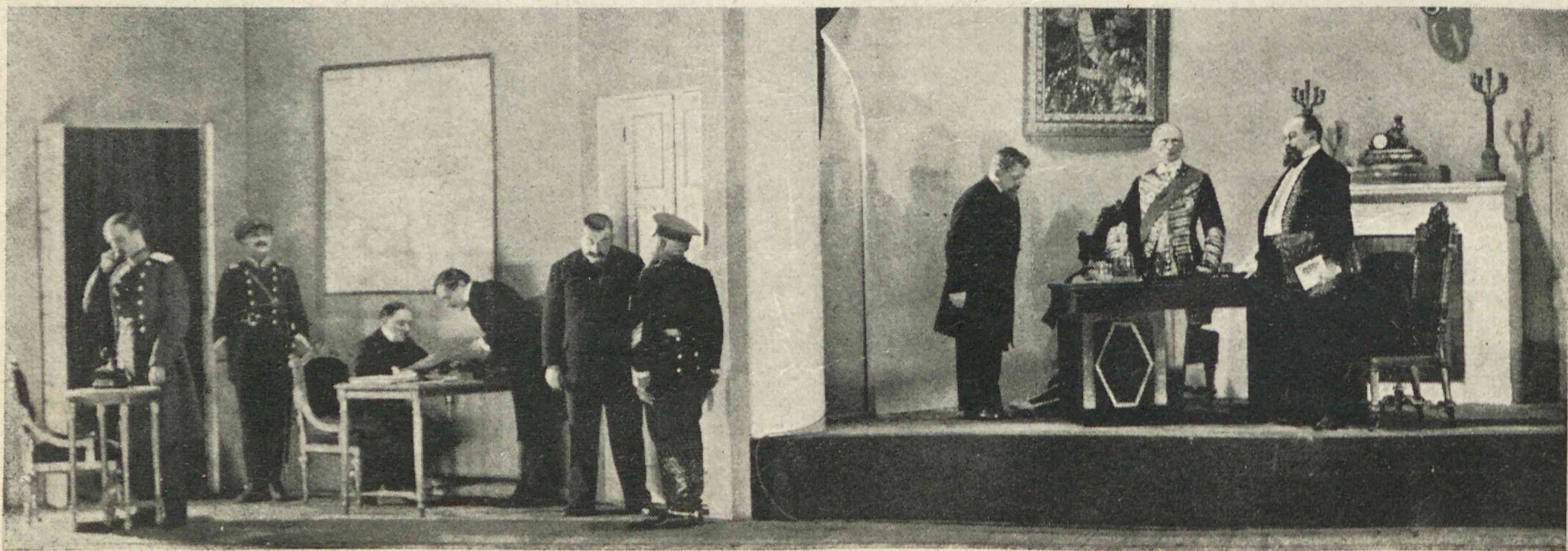
Bezwątpienia, temat jest bardzo interesujący. Zwłaszcza — w Warszawie. „Komedja tragiczna z niedawnej przeszłości" jakby zatytułowała ś. p. Gabrjela Zapolska... Na nieszczęście opracowała go ta sama skrachowana dwójka z Karowej — pp. Szczegolew i Tołstoj. To zgóry poderwało zaufanie. Rachunek z nawiązką wyrównywał splendor miejsca (Teatr Polski) — reżyser — staranna obsada — wystawa (Daszewski!).

„Świetna reżyserja Aleksandra Zelwerowicza sprawiała, że rzecz wydawała się zajmująca i nawet ciekawa" — pisze jeden z najsurowszych w ocenie krytyków. Inni chwalą bez zastrzeżeń znakomitą grę Zelwerowicza — Azefa, wybitne kreacje Ludwika Fritschego, Ireny Horeckiej, Woskowskiego (Burcew!), Boneckiego.

O publiczności zanotowano rzeczy zastanawiające: wyrywała się z oklaskami w miejscach dość nieoczekiwanych. Chwilami widownia dzieliła się na dwie połowy, oklaskujące naprzemian różne ustępy tekstu.

W Łodzi i w Wilnie reportaż azefowski — w tym samym przekładzie i opracowaniu J. Brodzkiego — cieszył się w sezonie ubiegłym dużem powodzeniem. W Warszawie grano go kilka lat temu aż w dwóch teatrach żydowskich jednocześnie.

„Azef", reportaż teatralny Tołstoja i Szczegolewa w „Teatrze Polskim"



Podwójna akcja na scenie: przedpokój ministra Plehwego i jego gabinet Fot. St. Brzozowski



J. LEMANÓWNA,
jako królowa Elżbieta.

Teatr Polski w Toruniu wystawił ostatnio „Don Karlosa" Schillera w reżyserji E. Żyteckiego. Mimo braku sceny obrotowej, potężny ten dramat otrzymał piękną oprawę, a zespół artystów stanął na wysokości zadania pod kierownictwem J. Cornobisa, który odtworzył trudną rolę króla Filipa II-go. Rolę królowej Elżbiety wykonała młoda i utalentowana artystka Jadwiga Lemanówna z subtelnem i pełnem uczucia oddaniem potoczystego wiersza

Tydzień muzyczny

W Teatrze Wielkim odbyło się, z okazji stulecia gmachu, uroczyste przedstawienie „Cyrulika Sewilskiego". Święciło ono również swój stuletni jubileusz. Sala przepełniona, nastrój podniosły, wykonanie — dosyć staranne.

Nie bez melancholji robiliśmy tu rachunek sumienia z ubiegłego stulecia.

Ten rozłożysty gmach — to skala wielkiego termometru, co mierzył temperaturę naszego miasta od czterech pokoleń. Ci, co z niem się zrośli i pamiętają jego historję albo ją znają z opowiadań swych babek lub prababek, ci wszyscy z prawdziwem wzruszeniem przeżywali wspomnienia związane z tą miłą salą, jedną z niewielu, gdzie wśród starych pluszów, zasłon i złoceń przechowuje się tradycja pogodnej warszawskiej przeszłości.

Miała opera swoje wzloty i upadki, ciążyła nad nią od pierwszej chwili jej powstania niewola narodu, odbijając się fatalnie na jej rozwoju, na możliwościach polskiej muzyki operowej, na całokształcie kultury muzycznej; była ona symbolem naszego lunatyzmu; ale pomimo to odegrała wielką rolę w życiu miasta i kraju.

A dziś?... W pewnej rozterce stawiamy to pytanie, bo niełatwo na nie odpowiedzieć. Jaka będzie przyszłość Opery? Jaka *jest* przyszłość Opery? Czy to rzeczywiście upadek, ostateczny kres zmagań przeżytej formy, czy tylko chwilowe zaćmienie sztuki, jaka się może odrodzić za przyczyną genjuszu, którego nadejścia muzyka współczesna wogóle — a nietylko operowa — oczekuje z wiarą.

Są znaki na niebie.

M. Kl.

* * *

Na ostatnim „piątku" symfonicznym wystąpił skrzypek czeski, Vasa Prihoda. Grał koncert Brahmsa z dużą maestrją techniczną, ale dosyć blado, jeśli chodzi o duchową stronę tego arcydzieła.

Usłyszeliśmy dwie nowości: „Symfonję techniczną" E. Zadora, kompozytora węgierskiego, napisaną przed dwoma laty, z dużym rozmachem i brio, oraz Suitę symfoniczną Adama Wieniawskiego p. t. „Bajeczki". Jest to szereg bardzo zgrabnych i miłych poemacików muzycznych. Cały cykl składa się z 7-miu obrazków, zatytułowanych: „Opowiadanie babuni", „Opowiadanie pastucha", „Biedny garbusek", „Ninka jest zawsze pogodna", „Wilkołak", „Pogrzeb kotka", „Żabie wesele", — z których wykonano cztery pierwsze. Kompozycje charakteryzuje pogodny nastrój, bezpretensjonalność i subtelna, pomysłowa instrumentacja.

M. Kl.

ODZNACZENIA Z OKAZJI 100-nej ROCZNICY OPERY WARSZAWSKIEJ

Fot. J. Malarski



Złoty krzyż zasługi otrzymali: pp. E. Młynarski, T. Mazurkiewicz, I. Dygas, Z. Mossoczy, A. Dobosz, P. Zajlich, W. Elszyk, J. Korolewicz Waydowa, W. Szewinger, H. Szmolcówna. Srebrny krzyż zasługi: pp. A. Adamus, J. Czarnecki A. Kmieć, W. Śliwiński, A. Stromberg, T. Wasilewski, E. Wojakowski, A. Wejnertowa, R. Kornacki. Bronzowy krzyż zasługi: p. J. Hieropolitański.

WIOSNA BĘDZIE!

PRZYSZŁE MODY





— Będzie! — ale nie prędko. Przyspieszyć ją muszą kobiety. Mróz, deszcz, czy słońce, pierwszym kwiatem wiosny — jest nowy kapelusz. Kapryśny w tym roku, jak wszelkie małe stworzenia. Przewędrował z tyłu głowy na przód, przechylił się na prawe oko, odsłonił oba uszy i kark, okolił się rondkiem, zadarł piórko do góry i czeka, co z niego wyrośnie. Narazie jest rozkosznem do niczego nie podobnem przybraniem głowy, bo przecież nie ochroną, skoro każdy podmuch wiatru może go strącić, a zimne powietrze figlarnie po skórze chodzić.

Ciało nasze będzie wiosną zebrowane, lub kratkowane, bo takie właśnie wzory materjałów są modne, czy to w wełnie, czy w jedwabiu. Strach pomyśleć, co się stanie z trochę tęższemi paniami, jeśli wybiorą szeroką kratę, lub włożą pasy w poprzek. Może je ustrzec od tego jeszcze inny nowy materjał, bardzo wyszczuplający — jedwab „ciré" czyli lakierowany, wyglądający poprostu jak cerata. Uprzedzam, że ta kosztowna nowość z zachowania nie jest podobna do ceraty, gdyż jest miękka, spływająca, nie znosi wody i częstego prasowania, zato gniecie się bardzo.

— Proszę to nosić.

— Fasony niewiele się zmieniają. Pas w pasie — to ważne! Żadnych directoirów i empirów. Żakiet albo krótki, obcisły, wcięty z paskiem, albo trzy czwarte długości *prosty* — to ostatnia nowość, a raczej powrót dawnych, ślicznych, bezpretensjonalnych płaszczyków. Rękawy okryć nareszcie skromne, angielskie, bez okropnych buf, riuż i innych falban.

Suknia poobiednia, jak zawsze, przysparza kłopotu. Szczególniej wiosną, kiedy trzeba wybrać kolor, który będzie ładny i przy szarym zmierzchu herbat five'o clockowych i przy sztucznem świetle wczesnych brydżów. Modele w kratę utrzymane są przeważnie w kolorze biało-czarnym. W sukniach gładkich wraca do mody barwa beige, a faworytem sezonu jest *szary*. Trzeba ten „szary" bardzo umiejętnie wybierać, gdyż przeważnie jest on nietwarzowy i wymaga dyskretnego ożywienia go jaskrawym szczegółem. Suknia poobiednia sięga za połowę łydki, rękawy ma długie, lub trzy czwarte długości, co zresztą, chociaż modne, zawsze szpeci rękę. Można nosić i zupełnie krótkie rękawki, ale bez przypinanych przedłużeń. Rękawiczka po obiedzie króluje. Fantazja fachowców wymyśla coraz nowe fasony i stosuje obok skóry materjały sukniowe, szczególniej aksamit. Najnowszy model to „baise-main" — rękawiczka z trójkątnem wycięciem na wierzchu dłoni, zakrytem języczkiem, który się do pocałunku odchyla. Dodaje to podobno banalnemu pocałunkowi w rękę — smaku.

Obuwie na ulicę na prostym, dość nizkim obcasie, dobrane w barwie do okrycia, często łączone z jasnego reniferu i ciemnej skóry lub lakieru. Na wieczór jak najwyższy obcas, jaknajbardziej powycinany wierzch i pantofel koniecznie dobrany kolorem do toalety, jeśli możliwe, wykonany w tym samym materjale.

Suknia wieczorowa długa, obcisła, u dołu szeroka. Materjał „ciré", w deseń, lub pastelowy jasny ton z szarfą, kokardą, szczegółem w tej samej gamie barw, tylko ciemnej: a więc, beige i bronzowy, różowy i rubinowy i t. d.



— Moda zdecydowana, łatwa w wyborze i twarzowa. Jedną ma wadę — kosztuje. A na wiosnę tak bardzo się pragnie czegoś nowego, czegoś, co w nielitościwem świetle dziennem, będzie świeże i pozwoli zapomnieć o wszystkich farbowanych, przerabianych szatkach, które elektryczność nocy zimowych podnosiła do godności „modelu".

Jeśli znajdują się jeszcze pieniądze na przegraną w brydża, na pół czarnej, czasem na zapłacenie podatku to:

„O wy najlepsze wróżki,
i wszyscy święci na niebie,
Pomóżcie obuć me nóżki
i niech mam „co włożyć na siebie".

aj. aj.



PRZECIWNIEMIECKA MANIFESTACJA W RADOMIU



We wszystkich większych miastach polskich odbyły się olbrzymie manifestacje przeciw zakusom Niemiec na nasze granice. M. inn. w Radomiu manifestowało ponad 15.000 ludzi. Zdjęcie powysze przedstawia część pochodu wyruszającego z Placu 3-go Maja na Rynek



Bal na peronie stacji Czeremcha

Pociąg młodych szaleńców

Niezwykły ruch rozpoczął się na warszawskim dworcu głównym jeszcze przed siódmą rano, — znacznie wcześniej, niż normalnie w każdą niedzielę.

I od strony ulicy Marszałkowskiej i od Chmielnej ciągnęli młodzi sportowcy obojga płci w długich norweskich spodniach narciarskich, z „deskami" i kijkami na ramieniu. Podjeżdżały sznury taksówek i samochodów prywatnych i wyrzucały ze swych wnętrz dziesiątki i setki zapaleńców, co już o świcie mogą zerwać się z łóżka, by o siódmej rano rozpocząć grę w bridża lub tańce!

Pociąg zapełnia się szybko. Na peronie widać i odprowadzających, — przeważnie w strojach balowych. To ci, którzy przybyli pożegnać znajomych wprost z zabaw ostatniej soboty karnawałowej.

Długi wąż pulmanów, z wagonem restauracyjnym pośrodku, rusza w drogę do puszczy białowieskiej. Na końcu peronu orkiestra kolejarzy żegna pociąg marszem wesołym. Pomimo mrozu, i to dość silnego, wszystkie okna są otwarte i pełne młodych zarumienionych twarzy, różnobarwnych jaskrawych swetrów i czapeczek.

W pociągu ruch, gwałt, śmiech i zamięszanie. Wszyscy się rozlokowywują, zdejmują wierzchnie okrycia, a za chwilę jeszcze rozpoczyna się prawdziwa „wędrówka narodów" po wszystkich wagonach. Każdy chce się przekonać, czy nie spotka znajomych, lub też, być może, jakichś specjalnie fascynujących nieznajomych...

Bardziej głodni rozłożyli już na stolikach obfite zapasy prowizji, bardziej zapaleni bridżyści rozpoczęli już swą pracę.

Wagon restauracyjny też nie próżnuje! W jednej połowie sali tłum pasażerów otoczył długi stół i pochłania wszystko, co się pod rękę trafi. W drugiej połowie świetna orkiestra Kagana rżnie od ucha, a kilkadziesiąt par, stłoczonych do ostatnich granic możliwości, usiłuje tańczyć. Jest niesamowicie ciasno, lecz nie zmniejsza to wcale ogólnej wesołości!

Zresztą na wszystko znaleźć można radę: w kilku przedziałach urządzono „prywatne dancingi", na które zresztą każdy ma wstęp wolny. Gdy pociąg po raz pierwszy zatrzymuje się na stacji Siedlce, pasażerowie wysypują się na peron i urządzają wielki bal pod otwartem niebem, przy dźwiękach orkiestry miejscowych kolejarzy. „Tango", „rumba", a na zakończenie najprawdziwsza i najweselsza „polka"!

Zbiegają się na dworzec przerażeni siedlczanie i stoją z roztwartemi ustami:

— Rety, Maryśka! Baby w spodniach tańcują na peronie! Czy to nie warjatów jakich wiozą??!!

Na następnym przystanku, w Czeremsze, nie przygotowano orkiestry. Zwabia się więc na peron najwyższego z pasażerów, ustawia się mu na głowie najgłośniejszy gramofon i rozpoczyna wesołego „sztajerka". Lokomotywa aż ryczy, tak chce już ruszać, ale gdzież tam!

— Mało, mało! — krzyczą tancerze.

W wagonach, w przedziałach i na korytarzach — coraz weselej! Aż dziwne że ten roześmiany, rozkrzyczany i roztańczony pociąg nie wyskoczy z rels i nie wpadnie z szalonego rozpędu w leżące po bokach toru zwały świeżego puszystego śniegu!

Lecz wydaje się, że gdyby nawet i zdarzyła się taka katastrofa, byłoby to jedynie powodem do jeszcze większej wesołości, krzyków i śmiechu!

„Pociąg szaleńców" zbliża się do celu podróży. W dancingu i na korytarzach tańczą zapamiętale, w przedziałach rozgrywają „szlemiki" z „kontrami" i „rekontrami", lub jedzą i trącają się kieliszkami, a na platformach wagonów odbywa się smarowanie nart „na suchy, sypki śnieg".

W drzwiach przedziału jakiś wesoły narciarz rozmawia z pensjonarką:

— Zwiedzimy rezerwat żubrów, — mówi poważnie. — Pokażę pani słynną żubrzycę, co z jednego udoju daje cztery wiadra świetnej wódki-żubrówki!

— Niemożliwe! Aż cztery wiadra! — dziwi się panienka.

Pociąg staje.

— „Puszcza"! Wysiadać!

Adam Paszkowicz



Przyjazd do Białowieży specjalnego pociągu: „Narty — Bridż"

Ci, którzy nie mają prawa narzekać na kryzys

Gdy ukazały się w prasie pierwsze wiadomości o zniesieniu zakazu palenia w przyczepnych wagonach tramwajów miejskich, rozległy się tu i owdzie głosy niezadowolenia. Ubiegł jednakże już spory szmat czasu i widzimy, że nic się złego nie stało. Nawet nietrudno stwierdzić, że frekwencja w wagonach dla palących jest znacznie większa, aniżeli w objętych zakazem palenia. Wniosek stąd prosty, że zakaz ów był całkiem zbyteczny.

Dziwnem się jednak wydaje, że cały szereg narzekających na „kryzys" właścicieli kawiarń i sklepów nie chce podążyć za tym wymownym przykładem. Słowa „nie chce" nie oznaczają bynajmniej braku odpowiedniej decyzji, raczej brak zastanowienia. Każdy przecież sklep, każda kawiarnia marzy o jak największej frekwencji publiczności, o najszerszym zbycie towarów. Zdawałoby się więc, że właściciel kawiarni, czy sklepu nie będzie stawiał żadnych trudności wobec swych klijentów, ale raczej wiele uczyni, aby ją ściągnąć do siebie. Tymczasem pierwszy napis, który się rzuca w oczy klijenta, to tabliczka z zakazem palenia. Właśnie klijent ściąga rękawiczki, aby zapalić papierosa i z zainteresowaniem przejrzeć rozłożone przed nim towary, gdy personel, stosując się do woli właściciela, objaśnia smętnie, że palenie wzbronione. Oczywiście, klijent pójdzie do innego sklepu, do innej kawiarni, gdzie nikt mu nie będzie narzucał swoich przestarzałych upodobań. Ale niechaj tego rodzaju kupcy nie narzekają na „kryzys".

T. K.

DAY EDGAR

„TAK, JAK STOJĘ"

(Krótka nowelka, która jest ostrzeżeniem dla niecierpliwych mężów).

Pociąg zwalniał biegu i Allan Steppard skonstatował, że była godz. 9 m. 26. Z uznaniem pomyślał o maszyniście, jako o człowieku dokładnym. Wyskoczył szybko z wagonu i minąwszy małą stacyjkę, wsiadł do oczekującego go auta. Byleby Edwina była gotowa. Ostatnia ich kłótnia miała za podłoże punktualność. Siedem minut oczekiwał żony i ofuknęła go z oburzeniem, że śmiał syreną naglić ją do pośpiechu.

— Jeżeli jeszcze kiedyś będziesz mi huczał nad głową, wyjadę tak, jak stoję — zawołała.

Z pobłażliwym uśmiechem wspomniał tę scenę, kierując samochodzikiem po zaśnieżonej drodze. Myślał o wieczorze u pp. Curtisów, na który zdążał, pokonywując tyle trudności. W biurze miał nawał zajęć, wyrwał się jednak, żeby dogodzić Edwinie, która miała taką ochotę być na tym balu. Do ostatniej chwili siedział w biurze, potem ubrał się pośpiesznie i zatelefonował do Edwiny, żeby była gotowa punktualnie o godz. 9.34. Samochodzik stanął przed ich małą willą. Allan szybko wbiegł na schody. Nie było Edwiny w hallu, ani w salonie. Na progu sypialni zawołał niecierpliwie:

— Hallo Edwino, czy jesteś gotowa?

— Prawie — odpowiedział młody głos.

— Czekam na ciebie w aucie.

Po paru minutach zatrąbił energicznie. W oknie ukazała się głowa niezupełnie ubranej Edwiny.

— Pamiętaj, czem ci groziłam wtedy!

— Spóźniłaś się o cztery minuty — i z pasją zatrąbił. — Trzeba jej dać jakąś nauczkę! — i niecierpliwy głos syreny odzywał się raz po raz.

Drzwi otwarły się i owinięta w futro ukazała się Edwina. Oczy jej błyszczały gorączkowo.

— Przestań trąbić!

— Przestanę, gdy będziesz gotową. Czekam już sześć minut i dotąd nie zdążyłaś się ubrać — będę trąbił póty...

— Jeżeli raz jeszcze zatrąbisz, pojadę tak, jak stoję!

Syrena huczała dalej.

— A zatem jadę — i wskoczyła do samochodu. — Jestem zmęczona awanturami, które mi wyprawiasz — rzekła z udanym spokojem — możesz być punktualnym do przesady w swojem biurze, ale nasz dom nie jest biurem i nie zniosę tego dłużej!

Allan zachował dystyngowane milczenie, ale przyglądał jej się dyskretnie. Z pod futra wyglądały nóżki bose aż do kolan; wysunęła je umyślnie, chcąc zmusić męża do powrotu.

— Nic z tego, — pomyślał i stanąwszy przed bramą willi Curtisów — otworzył drzwi auta:

— Przyjechaliśmy, wychodź.

Edwina z gracją królowej wysiadła z auta.

Teraz zabraknie jej odwagi, pomyślał Allan, ale weszła spokojnie i Allanowi zamajaczyło się zdziwienie gości, gdy ją tak ujrzą.

Drżała z zimna, ale mówiła spokojnie:

— Zadzwoń Allanie, trochę zmarzłam.

— Wrócimy do domu i ubierzesz się — zaproponował nagle.

— Ale przysięgnij mi, że już nigdy nie będziesz trąbił tą przeklętą syreną.

— Przysięgam, tylko spiesz się.

Tymczasem drzwi się otwarły i tłum gości porwał ich.

Przyjaciółka Edwiny, Betty Lehr, chwyciła ją za rękę — biegły po schodach zdejmując okrycia. — O dziwo! Betty była jeszcze mniej ubrana, niż Edwina.

— Czy oszalałem? — pomyślał Allan.

Głos Betty brzmiał wesoło:

— Jestem Kleopatrą, a ty?

— Ja piratem — odpowiedziała Edwina.

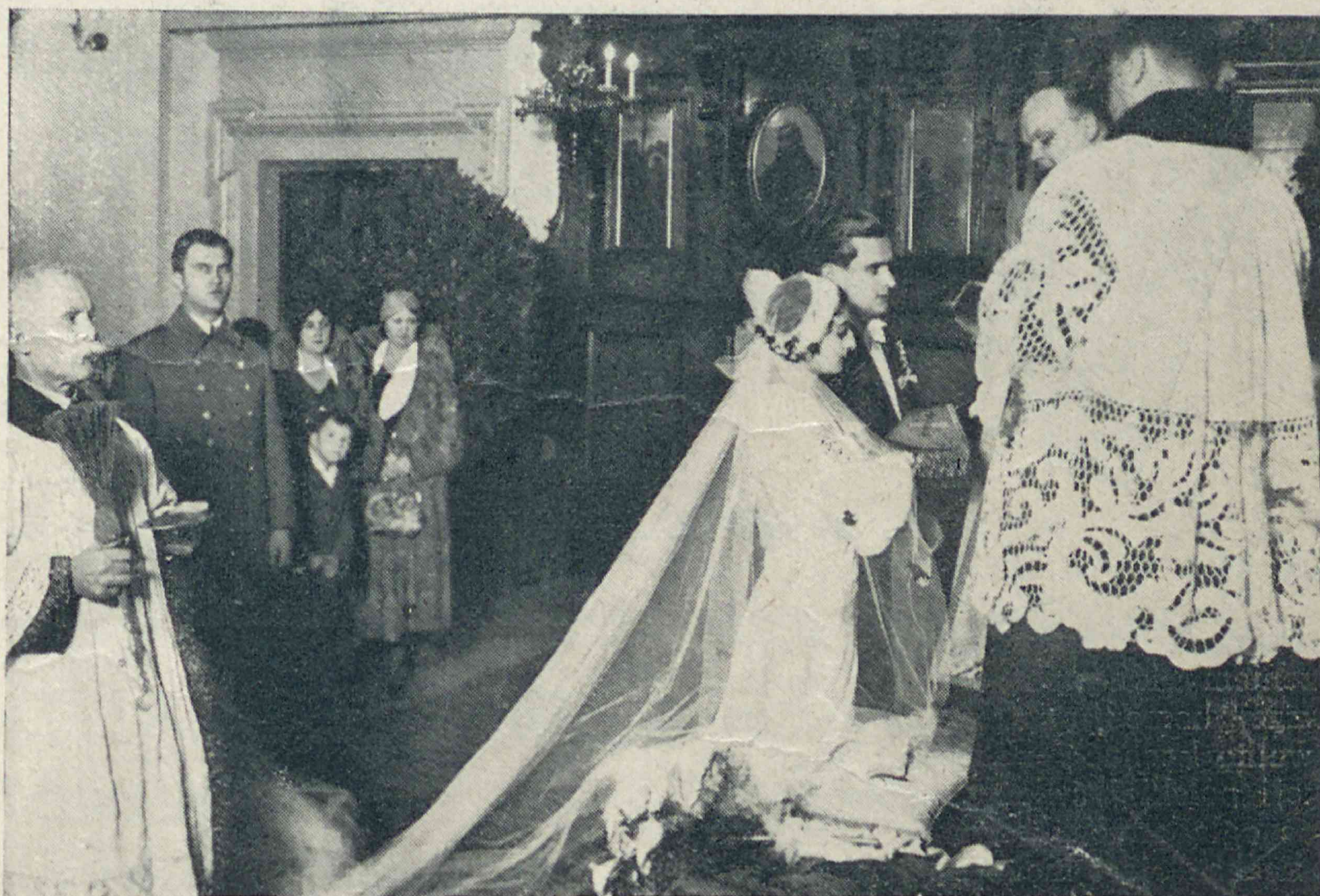
Stała teraz w krótkiej zielonej koszulce i małych pantofelkach — to wszystko.

— Jesteś zachwycająca — wykrzyknęła Betty, — a czem jest Allan?

— Allan nie ma kostjumu — słodko odpowiedziała Edwina — tak się spieszył, że zapomniał o tem, że to bal kostjumowy.

Tłumaczyła
Jadwiga Pietraszkiewicz

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ



W dniu 11 lutego r. b. o godz. 7-ej wieczorem, w kościele św. Krzyża, ks. proboszcz Szatko, pobłogosławił związek małżeński pomiędzy panną Leokadją Staniewską, córką Eugenjusza i Apolonji z Lisowskich, bratanicą znanego w Warszawie dyrektora Cyrku p. Bronisława Staniewskiego, a p. Janem Dembińskim, synem Kazimierza i Marji z Pikaów. Młodą parę doprowadził do ołtarza dyr. Bronisław Staniewski. W czasie uroczystości zaślubin orkiestra Cyrku pod dyrekcją p. A. Furmańskiego odegrała szereg utworów muzycznych, a artyści opery pp. E. Mossakowski, A. Gołębiowski i R. Hanusz odśpiewali na chórze pieśni okolicznościowe. Uroczystość ta zgromadziła w kościele b. wiele osób z pośród znajomych, przyjaciół i krewnych państwa młodych oraz ze sfer towarzyskich stolicy.

W KINACH WARSZAWSKICH

Z New-Yorku nadeszły do Warszawy cztery najnowsze przeboje wytwórni „Paramount". Fotomontaż niniejszy przedstawia po jednej scenie z czterech odrębnych filmów. Od lewej: Elissa Landi i Frederick March w monumentalnym obrazie Cecil B. de Mille'a „W Cieniu Krzyża", Sylvia Sydney, jako „żółta piękność" w „Madame Butterfly", przeróbce głośnej opery, u góry: scena z filmu egzotycznego „Król dżungli i wreszcie trzy „gwiazdy" Jasnowłosa Miriam Hopkins, Kay Francis oraz partner Marleny Dietrich — Herbert Marshall w arcyfilmie genjalnego Ernesta Lubicza p. t. „Złote sidła". Film „Złote sidła" wyświetlać będzie Kino „Światowid".

Fot. Paramount



Nowa komedja polska

Wśród posuchy ubiegłego tygodnia — wydarzeniem kinowem była premjera najnowszej komedji polskiej p. t. „Każdemu wolno kochać". Film ten wniósł do produkcji polskiej świeży powiew. Z dotychczas oglądanych komedyj, „Każdemu wolno kochać" jest może najbardziej pogodna i pozbawiona tanich, wulgarnych efektów.

Bezimienny autor scenarjusza (program nie podaje jego nazwiska) potrafił połączyć w jedną konstrukcyjną całość dwupłaszczyznową intrygę, której bohaterami są dwie kochające się pary: panienka z „dobrej rodziny" i wirtuoz-kompozytor oraz służąca i bezrobotny Hipek. Zanim jednakże dojdzie do „happy-endu", bohaterowie przejdą wiele, nietyle tragicznych, co zabawnych perypetyj.

Na czoło zespołu wysuwają się tym razem mężczyźni, więc przedewszystkiem Marjusz Maszyński i Adolf Dymsza — doskonała, zgrana para. Dwa odmienne typy: niezaradny, żyjący wyłącznie sztuką i miłością muzyk, oraz uosobienie „warszawskiego" sprytu. Każde ukazanie się tej pary witano salwą śmiechu.

Duże możliwości kinowe wykazała Mira Zimińska, urodą zaś i wdziękiem podbiła serca publiczności Lili Zielińska, młoda artystka teatru Narodowego. Bardzo udatnie wypadł śpiew J. Brochwiczówny, znanej z operetki „Peppina".

Pozatem wyróżnili się: J. Orwid, przezabawny „pater familias", L. Lawiński,



Ostatni uścisk. — W marcu białego przyjaciela zabierze odwilż

Łuszczewski (doskonała groteska reżysera) i Conti.

Przeboje Kataszka i Karasińskiego — non plus utra.

Dźwiękowość i technika „Falangi" nie pozostawiają nic do życzenia. Reasumując: sukces długotrwały.

Nierealna propozycja

W „Expressie Porannym" ukazał się artykuł o mającem powstać „Polskiem Konsorcjum Filmowem", będącem rodzajem monopolu.

Konsorcjum to domaga się od Państwa ni mniej ni więcej, jak tylko zwolnienia od wszelkich podatków (zarówno państwowych, jak i komunalnych) na przeciąg lat 10.

Wzamian za to obiecuje nieistniejąca jeszcze placówka wybudować atelier oraz rozpocząć produkcję w kraju. W ten sposób, wierzą inicjatorzy „konsorcjum", podniesie się poziom artystyczny produkcji krajowej oraz poprawi się bilans handlowy, gdyż nastąpi nadwyżka eksportu nad importem.

Bardzo optymistyczne są nadzieje organizatorów. Ale każdy trzeźwo patrzący na sprawy przemysłu filmowego stwierdzi, że:

1-o. kwestja wartości artystycznej filmu nie zależy od kapitału, ale w pierwszym rzędzie od *talentu* jego twórcy;

2-o. import filmów nie wyraża się sumą 30 miljonów zł., ale zaledwie 3 — 4 miljonów zł., czyli akurat 10 razy mniej, niż podają w swoim memorjale projektodawcy „konsorcjum";

3-o. obietnice przyszłego monopolu prywatnego nie są współmierne z ich żądaniami, których zadośćuczynienie kosztowałoby Skarb Państwa miljony złotych;

4-o. realizacja wersyj nie kalkuluje się i zostaje powoli zaniechana przez zagranicę, a co zatem idzie na eksport niebardzo można liczyć;

5-o. projekt ma wiele punktów słabych, noszących cechy dyletantyzmu i wogóle w świetle rzeczowej krytyki staje się *nierealny*.

Ciekawa tylko rzecz: kto jest „spiritus movens" tego memorjału?"

J. Fryd.

WIELKIE RZEKI EUROPEJSKIE PODCZAS TEGOROCZNEJ ZIMY



Zamarzła powierzchnia Renu przedstawia się jak zlodowaciałe fale. Ludzie wydeptali sobie wśród nich ścieżynę na drugi brzeg i przechodzą bezpiecznie



Dunaj stanął na całej swej szerokości, tworząc wygodną drogę dla pieszych z Bułgarji do Rumunji. Wartownik rumuński nie stawia przeszkód drobnemu ruchowi granicznemu

HYGJENA DZIECKA

Ciałko dziecka wymaga nieustannej a troskliwej opieki i pielęgnacji, delikatny bowiem naskórek dziecięcy stale jest narażony na najrozmaitsze niebezpieczeństwa, a co za tem idzie na szereg przykrych dolegliwości. Uniknąć i zapobiec tym dolegliwościom można tylko przez umiejętne pielęgnowanie dziecka odpowiedniemi środkami hygjeny dziecięcej, w pierwszym zaś rzędzie przez stosowanie właściwego mydła i pudru. Mydło dla dzieci winno być silnie przetłuszczone, a spreparowane z najczystszych tłuszczów, perfumowane zaś subtelnym zapachem z olejków naturalnych, a zatem winno być całkowicie wolne od ługów niezwiązanych. Puder zaś winien zawierać właściwe składniki chemiczne, być delikatny jak pyłek, a przytem skuteczny. Tym wszystkim właściwościom idealnie odpowiadają *Puder i Mydło Bébé Szofmana,* od lat przeszło 30 najbardziej rozpowszechnione i nieustannie ulepszane środki do pielęgnowania ciałka dziecięcego, *Puder Mydło i Krem Bébé Szofmana* są najbardziej nowoczesnymi najbardziej skutecznymi środkami hygjeny dziecięcej.

Dr. S. A.

SKUTKI KRYZYSU



Wuj Sam: — Mój Boże! Jak ja się zmieniłem w ciągu dwu lat!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 97 (199) WYSUWANKA
ul. Dorota Herbstmanówna

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1	2	3	4	5	6	7
C	S	P	Z	O	A	A
G	R	J	A	I	D	T
Y	Z	G	I	U	Ś	D
N	I	I	R	K	P	Ś
W	U	I	C	A	E	T

Z danej figury powysuwać do góry pięcioliterowe kolumny pionowe w ten sposób, aby w kierunku poziomym można było odczytać rozwiązanie.

№ 98 (200) I TAK I WSPAK

(Za rozwiązanie 5 punktów).

Wymienić 11 wyrazów: 9 pięcioliterowych, 1 — czteroliterowy, oraz 1 — siedmioliterowy.

Wszystkie te wyrazy tem się wyróżniają, że czytają się jednakowo od początku do końca i od końca do początku.

Znaczenie wyrazów: 1) Roślina lecznicza; 2) Okolicznik czasu; 3) Rodzaj łodzi; Imię żeńskie; 5) Marka krótkiej broni palnej; 6) Szynk; 7) Akt zabraniający; 8) Barwnik; 9) Zalew wód; 10) Drogocenny naszyjnik; 11) Imię biblijne.

Rozwiązanie zadań

№ 85 (188) WYSUWANKA. „Nie nabywaj rzeczy zbędnych, choćby były tanie, bo ci na potrzebne pieniędzy nie stanie".

№ 86 (189) ELIMINATKA. Puch. Rzepa. Damy. Zuch. Kochaś. Kwiatek. Żukom. — Klucz: Kożuch. — „Przepadamy za Światem".

№ 87 (190) DOPEŁNIANKA.

1	N	A	D	B	R	O	D	N	I	K
2	A	N	A	C	H	O	R	E	T	A
3	T	A	N	A	T	O	M	E	T	R
4	P	O	D	N	A	J	E	M	C	A
5	S	E	M	I	N	A	R	J	U	M
6	K	O	N	S	O	N	A	N	T	A
7	C	A	P	I	C	A	N	A	T	A
8	K	O	N	K	U	B	I	N	A	T
9	S	E	R	P	E	N	T	Y	N	A

TRAFNE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

№ 85 (188) (Za rozwiązanie 5 punktów). Wacław Tyblewski (Poznań), Marja Bugajska (Kłobucko), Kaz. Wiśniewski, Dorota Herbstmanówna, Zenon Brenek, N. K. Kozłowski, Inż. J. Modrzejewski, Fr. Wiśniewski, Marja Strubel, Kazimierz Lilpop, Z. Tietz, Jerzy Łopatto, Józefa Wolińska, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin).

№86 (189) (Za rozwiązanie 5 punktów). Kaz. Wiśniewski, Z. Tietz, Jawna Kowalska, Fr. Wiśniewski, Jerzy Łopatto, Marja Strubel, Zenon Brenek, Marja Bugajska, N. K. Kozłowski, Kazimierz Lilpop, Wacław Tyblewski (Poznań), Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin).

№ 87 (190) (Za rozwiązanie 4 punkty). Wacław Tyblewski (Poznań), Kazimierz Lilpop, N. K. Kozłowski, Marja Bugajska (Kłobucko), Zenon Brenek, Marja Strubel, Jerzy Łopatto, Fr. Wiśniewski, Dorota Herbstmanówna, Z. Tietz, Kaz. Wiśniewski, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin).

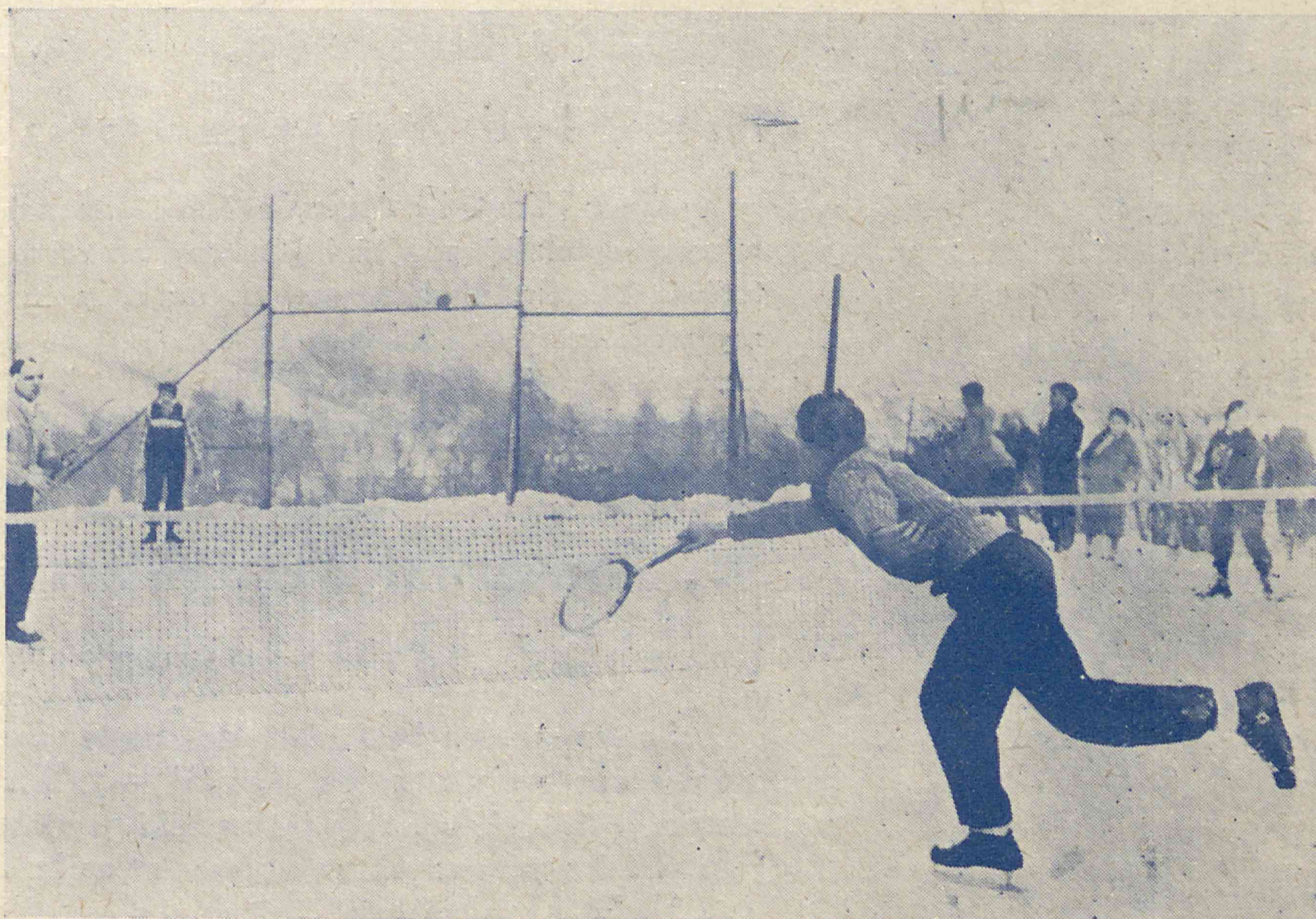
NAGRODY OTRZYMALI:

Inż. J. Modrzejewski (Lublin) — książkę.
Wacław Tyblewski (Poznań) — książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU

P. Przypkowskiemu z Kobyłki. Reklamacje, że nie otrzymuje Pan „Świata", są zupełnie nieuzasadnione. Wszystkie numery zostały zwrócone przez pocztę z adnotacją, że wyprowadził się Pan z Kobyłki i nie podał nowego adresu.

NOWY SPORT ZIMOWY



Tennis na lodzie

Tegoroczne powieści „Świata"

Co miesiąc „SWIAT" daje swoim prenumeratorom, jako

DODATEK BEZPŁATNY,



tom wartościowych, najnowszych powieści

najwybitniejszych autorów o wszechświatowym rozgłosie.



W styczniu 1933 r.

Teodor Dreiser: „GALERJA KOBIET"

Przekład autoryzowany Z. Popławskiej

Autor „Tragedji Amerykańskiej", znanej już w Polsce i z filmu i z książki, w swej ostatniej powieści „Gallery of vomen" daje przegląd kobiecych charakterów. Parokrotny kandydat do nagrody Nobla, jeden z najgenjalniejszych pisarzy współczesnych, książką tą dowiódł, że należy dziś do najlepszych znawców duszy kobiecej. Postacie „Galerji kobiet" — to postacie wyjęte z życia, to rzeczywisty obraz połowy rodzaju ludzkiego XX wieku.

W lutym 1933 r.

W. Somerset Maugham: „Obca naleciałość"

Przekład autoryzowany Bolesławy Kopelówny

Somerset Maugham jest doskonale znany naszym czytelnikom chociażby z dołączonego niedawno do „Świata" — „Okrągłego tuzinu". Oszałamiające powodzenie, jakiem się cieszyły jego sztuki, wystawiane w teatrach polskich, poczytność jego dzieł wydawanych w Polsce skłoniły nas do poszukiwania jego ostatnich dzieł. „Obca naleciałość" jest jedną z najlepszych prac tego pisarza i dramaturga. Maugham z niezrównanem mistrzostwem ukazuje nam życie współczesnej Anglji, dumnego Albionu, odgrodzonego od Europy murem „wspaniałego odosobnienia".

W marcu 1933 r.

Kpt. A. E. Dingle: „KOBIETY Z WYSPY"

Przekład autoryzowany Dr. H. Bukowskiej

Jest to powieść egzotyczna, przedstawiająca życie europejczyków, rozsianych po bezmiernych obszarach kolonji angielskich na Wschodzie. Barwne typy tubylców, tajniki duszy mieszkańców Wschodu, porywająca akcja, czynią z „Kobiety z wyspy" arcydzieło. Książka ta obecnie zyskuje na aktualności wobec wypadków na Wschodzie, gdyż akcja rozgrywa się na jednej z wysp, będącej pod protektoratem Japonji.

Autor, sam podróżnik, włóczęga po całym świecie, w powieści tej łączy sensacyjność akcji z rozmachem pisarza i psychologa.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

